

pasje

Polski Związek Łowiecki
1923-2026

Nr 4(21)/2026
ISSN 2451-1641

WROCŁAWSKI MAGAZYN EKOLOGICZNO-ŁOWIECKI
EGZEMPLARZ BEZPŁATNY



Nie wszyscy muszą wiedzieć,
jak korzystacie z pralki.

BLISKO, BLIŻEJ

działa nawet już po **12** minutach

działa aż do **5** godzin

MENSIL MAX

50 mg, tabletki do rozgryzania i żucia
Sildenafilum

Na erekcję

Działa do 5 godzin

Działa nawet po 12 minutach

4 tabletki

Tabletki nie wymagają popijania

Na podstawie Charakterystyki Produktu Leczniczego MENSIL MAX – pkt 5. ppkt 5.1.

To jest lek. Dla bezpieczeństwa stosuj go zgodnie z ulotką dołączoną do opakowania. Nie przekraczaj maksymalnej dawki leku. W przypadku wątpliwości skonsultuj się z lekarzem lub farmaceutą.



Drodzy Czytelnicy,

zaczynamy trzecią dziesiątkę edycji naszego magazynu. Jak wielokrotnie wspominaliśmy, jesteście otwarci na wszelkie Wasze uwagi i sugestie. Wręcz o nie prosimy. Mamy nadzieję, że kolejne numery będą dla Was równie interesującymi jak poprzednie. Troszkę nieskromnie, będąc dalekimi od samochwalenia się, pozwalamy sobie za-
uważyć, iż wychodzi nam to pismo chyba całkiem nieźle, skoro osoba zamieszana w dzieło usilnie zabiega, aby
większymi literami w metrykaliach o niej wspominać. Ba, może i zdjęcie zamieścić. Wracając do numeru, to kontynu-
ujemy podróż przez różne formy wydawnicze związane z łowiectwem. Tym razem są to kalendarze i mamy nadzieję
na nich nie poprzestać. Smutny los cietrzewia, którego ścisła urzędowa ochrona tak ściśle ochroniła, że właściwie
wprowadziła w niebyt, dopuszczając do zaniku jego biotopów. Zastanawiający jest tego powód, świadczący o ludz-
kim bezwzględnym egoizmie, a jeszcze bardziej absolutna bierność Ministerstwa i tych wszystkich tak się puszą-
cych z hasłami miłości do wszystkiego co żyje na ustach. Niezwykle trafnie do powyższego zagadnienia nawiązuje
artykuł prof. Piotra Tryjanowskiego poświęcony Międzynarodowemu Rokowi Ochrony Pastwisk i Pasterzy diagno-
zujący trendy prowadzące do nierozumienia funkcjonowania przyrody, a wręcz chęci kształtowania jej na modłę
sformułowanej ideologii. Przyglądając się tym różnym działaniom, pragniemy zwrócić Państwa uwagę na artykuł
prof. Jarosława Całki „Ekoreligia w pigułce”. Łowy były nieodłącznym elementem życia rdzennych mieszkańców obu
Ameryk. Wokół nich stworzyli bogatą kulturę duchową i materialną. Posiedli imponującą wiedzę o świecie przyrody,
która była drogą indiańskiego jestestwa, a w tym bogatego kolorytu wierzeń oraz interpretacji otaczającego świata.
Spotykamy się z ich kulturą, spotykając się z wybitnym polskim indianistą Gabrielem Walesiakiem.

Życzymy miłej lektury

Łowczy Okręgowy

Przemysław Ignaszak

Redaktor naczelny

Jacek Seniów

MENSIL MAX, 50 mg, tabletki do rozgryzania i żucia. Skład: Jedna tabletki zawiera 50 mg sylденаfileu tworzącego się *in situ* z 70,24 mg syldenafileu cytrynianu. **Postać farmaceutyczna:** Tabletki do rozgryzania i żucia. **Wskazania do stosowania:** Produkt leczniczy MENSIL MAX jest wskazany do stosowania u dorosłych mężczyzn z zaburzeniami erekcji, czyli niezdolnością uzyskania lub utrzymania erekcji prężą wystarczającą do odbycia stosunku płciowego. W celu skutecznego działania produktu leczniczego MENSIL MAX niezbędna jest stymulacja seksualna. **Podmiot odpowiedzialny:** PRZEDSIĘBIORSTWO PRODUKCJI FARMACEUTYCZNEJ HASCO-LEK S.A. 51-131 Wrocław, ul. Żmigrodzka 242 E. MEN/26/04/14/a 2026_0351

spis treści

Kalendarze myśliwskie **4**

„Łowiec” Wrocław **14**

Dianą być **24**

Przystań myśliwego **26**

Ryszard **30**

Pasterze i myśliwi w przyrodzie **38**

Z duchami na łowy **40**

Zearalenon **48**

Ekoreligia w pigułce **51**

Powrót bagnetu **54**

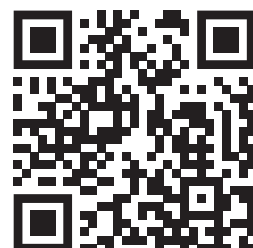
Farbotropy **57**

Międzynarodowy Zakon św. Huberta **64**

Łowieckie pasje Gryfitów **68**

Tu znajdziesz „Pasje” Wrocławski Magazyn Ekologiczno-Łowiecki:

<https://pasje-i-my.pl>



zkwp.pl/pies.php?p=arch&l=



krakow.pzlow.pl/mysliwiec



wroclaw.pzlow.pl/magazyn-pasje

Pasje – Wrocławski Magazyn Ekologiczno-Łowiecki
Wydawca: Zarząd Okręgowy Polskiego Związku Łowieckiego we Wrocławiu
ul. Wodzisławska 10b, 52-017 Wrocław
tel: 71 340 08 58, fax: 71 734 52 00
e-mail: zo.wroclaw@pzlow.pl
ISSN 2451-1641
Nakład: 1300 egz.
Kontakt do redakcji: magazynpasje@gmail.com

pasje **bpl**
WROCŁAWSKI MAGAZYN EKOLOGICZNO-ŁOWIECKI
BIBLIOTEKA PISM ŁOWIECKICH

Redaktor naczelny: Jacek Seniów
Rada Programowa: prof. Józef Nicpoń – przewodniczący, Przemysław Ignaszak – łowczy Okręgowy, mgr inż. Grzegorz Pietruńko (nadleśniczy Nadleśnictwa Olawa), dr Stanisław Han (Hasco-Lek), mgr Marian Samojluk, mgr Roman Rycombel, mgr inż. Adam Plaksej.
Zdjęcie na okładce: Adam Wawrzyniak
Opracowanie graficzne: GRART
DTP: Tomasz Stasiak
Druk: KEA Wrocław

Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za treść reklam, ogłoszeń, listów i materiałów sponsorowanych. Redakcja ma prawo odmówić zamieszczenia ogłoszenia i reklamy, jeśli ich treść lub forma są sprzeczne z linią programową bądź charakterem pisma (art. 36, p. 4 Prawa prasowego) oraz interesem wydawnictwa. Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo skrótów i opracowania redakcyjnego tekstów przyjętych do druku oraz prawo nieodpłatnego publikowania listów. Redakcja zastrzega sobie również możliwość nieodpłatnego wykorzystania publikowanych materiałów na własnych stronach internetowych i stronach wydawcy. Przedruki z magazynu „Pasje” dozwolone są wyłącznie za uprzednią zgodą Wydawcy.

KALENDARZE myśliwskie

Tekst: Leszek Szewczyk
Ilustracje: ze zbiorów Autora

Krótką historia kalendarza

Najstarsze znane kalendarze świata to przede wszystkim neolityczne układy kamienne i monumenty, służące do obserwacji cykli przyrody. Zdaniem naukowców najstarszym kalendarzem słonecznym w historii jest prawdopodobnie kamienny filar z licznymi symbolami, sprzed 10-12 tysięcy lat, odkryty w Göbekli Tepe w Turcji lub układ dołów w Szkocji w Warren Field (ok. 8000 r. p.n.e.). Wczesne systemy (sumeryjskie, babilońskie) opierały się na cyklach Księżyca i Słońca, precyzyjnie dzieląc czas.

Już w starożytności ludzie starali się uchwycić czas. Zauważali, że wschód i zachód Słońca, z jego pozorną dzienną wędrówką po niebie, powtarzają

się w różnych porach roku. W wyniku tych spostrzeżeń powstała jednostka służąca do pomiaru czasu, jaką jest doba. Dwa inne zjawiska zachodzące powtarzalnie, lecz w powolniejszym tempie, to miesięczny ruch Księżyca i roczny ruch Słońca, które były wykorzystane do zliczania następujących po sobie dni. Na nich oparto rachubę kalendarzową. Tak powstały systemy kalendarzowe. Za kalendarz uważa się zatem system podziału czasu na dłuższe i krótsze jednostki, takie jak: godziny, dni, tygodnie, miesiące i lata oraz ich uporządkowanie w określony sposób.

Współczesny kalendarz jest już dokładnie uporządkowany i jednolity w każdym zakątku świata. Jednak nie zawsze tak było. Jako osobliwość zana-

czyć warto, że np. na Jukatanie dzień miał nie 12, jak wszędzie, lecz 13 godzin. Dawni Chińczycy, Grecy i Rzymianie nie znali i nie używali dni tygodnia, lecz 10-dniowy okres, zwany dekadą. Odmiany księżyca (nów, pierwsza kwadra, pełnia i ostatnia kwadra), trwające średnio po 7,1/3 dni, już na mocy prawa Mojżeszowego, służyły za miarę czasu i pod nazwą tygodnia zostały przejęte przez chrześcijan, z tą tylko różnicą, że pierwszym dniem tygodnia była nie jak wcześniej sobota, lecz niedziela. Poniedziałek jako pierwszy dzień tygodnia, to już czasy nowożytne.

Po rewolucji francuskiej, od roku 1793 do 1806, po wprowadzeniu miary metrycznej i systemu dzieśiętnego, obowiązywały dekady, a nie tygodnie. We Francji w XV wieku Nowy Rok obchodzono w dniu 1 marca, za panowania Karolingów 25 grudnia. Rachubę od 1 stycznia rozpoczęto w roku 1563. W Anglii do roku 1752 początek roku przypadał na 25 marca, w Hiszpanii rachubę od 1 stycznia rozpoczęto w 1577 roku, w Rzymie w 1691 r. Wiek nie zawsze zawierał 100 lat. U pogan rozróżniano wieki po 25, 30, 112 i 116 lat. U chrześcijan zaś, ze względu na lata jubileuszowe, wiek liczono zawsze jako okres stuletni. Początek nowego wieku przypada nie na rok setny, lecz na rok pierwszy. Tym sposobem wiek XX rozpoczął się 1 stycznia roku 1901, a nie w 1900. Początkowo rok dzielono na porę siewu, żniw i winobrania. O tych ciekawostkach przeczytamy w książeczce Gabriela Fołwińskiego „O Kalendarzu i jego znaczeniu”, wydanej w 1903 roku.

Nazwa kalendarz wywodzi się od greckiego słowa *kaleo*, co oznacza „wzywać”. Rzymianie na początku każdego miesiąca wzywali mieszkańców, aby ogłosić długość miesiąca oraz dni świąteczne w nim przy-

padające. Księgę służącą do zapisywania dni, świąt i zmian faz księżyca przyjęto nazywać calendarium. Łacińskie słowo *calendae* oznacza pierwszy dzień miesiąca.

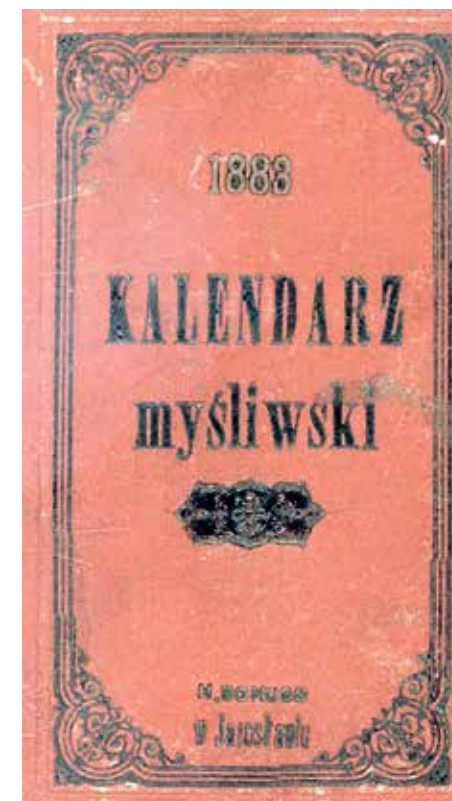
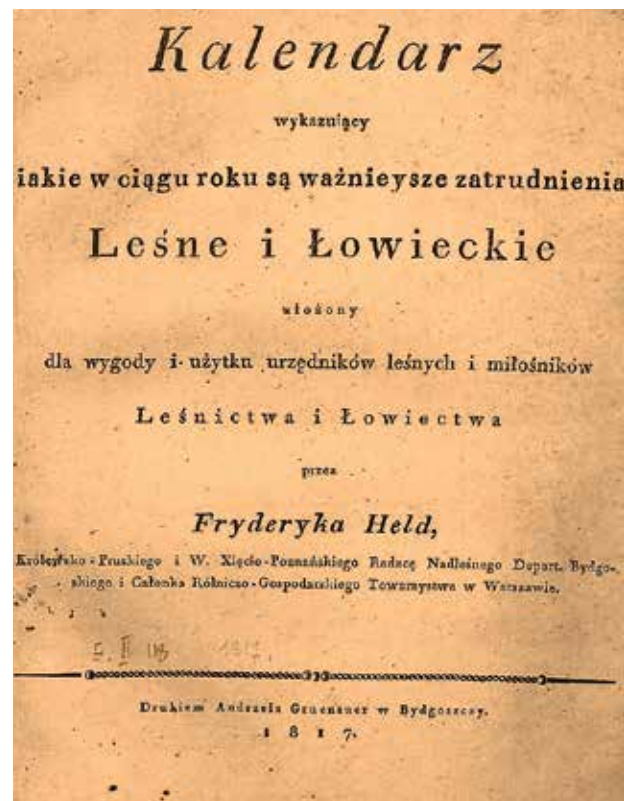
Kalendarze myśliwskie

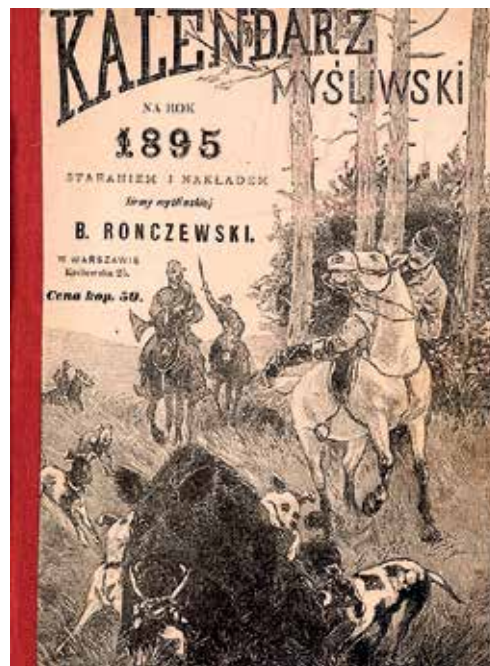
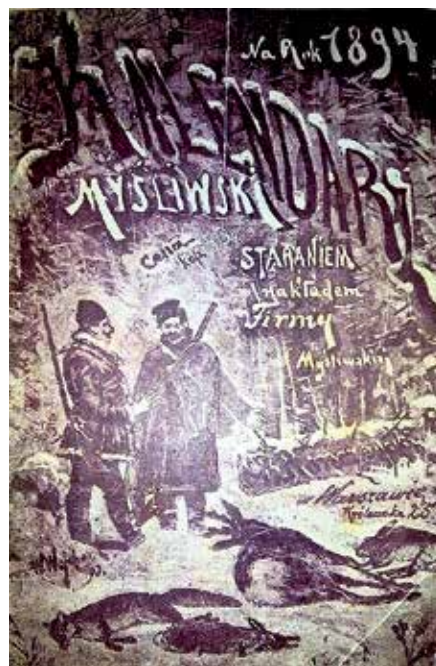
Wśród różnorodności kalendarzy odnajdujemy nasz kalendarz – „Kalendarz Myśliwski”. Na przestrzeni wieku w nazewnictwie kalendarza myśliwskiego znajdziemy też różne dopiski: „Rocznik”, „Informator”, „Poradnik”, „Notatnik” czy „Almanach”.

Ogólnie kalendarze myśliwskie możemy podzielić na kalendarze ściennie i kalendarze książkowe. Kalendarze książkowe dodatkowo na: książeczkowe (kieszonkowe) i współczesne kalendarzyki reklamowo-informacyjne. W dobie zaawansowanych technologii – kalendarze elektroniczne.

Ścienny Kalendarz Myśliwski

Niestety, nie mamy się czym pochwalić... Do 1939 roku myśliwski kalendarz ścienny nie był znany. Ani Łowiec, ani Łowiec Polski, ani pozostałe redakcje pism łowieckich, leśnych czy rolniczych, ani też żadne stowarzyszenie łowieckie czy też fabryka lub skład broni myśliwskiej, nie wydawały takowych kalendarzy. Pierwszy i jedyny w tym okresie – bezcenny unikat – to „Ścienny Kalendarz Myśliwski na rok 1863”. Kalendarz w kolorze sepia wykonał warszawski litograf Jan Ciemniwski. Nie wiadomo, kto był inicjatorem i kto był jego Wydawcą. Kalendarz tak oto opisał Józef Władysław Kobylański, w którego zbiorze on się znajdował: „Po obu stronach calendarium, zajmującego cały front jakiejś leśniczówki, widzimy zamki myśliwskie, dalej mamy po lewej stronie myśliwego





prowadzącego sforę psów, polującą panią na koniu, obok niej myśliwy również na koniu, dmący w długi róg myśliwski; dwaj myśliwi niosący na ramieniu upolowanego jelenia albinosa, po prawej stronie znowu trzy psy gończe na smyczy, dwaj myśliwi konni, dwaj piesi, z tych jeden dający sygnał na rogu. Wszystkie sceny są w ruchu, tylko myśliwy najdalej wysunięty, stoi na tle gór nieruchomo na stanowisku”.

Niestety, nie udało mi się odnaleźć tego kalendarza w Naszej Bibliotece przy Nowym Świecie nr 35, w której to przechowywana jest część zbiorów po kapitanie Józefie Władysławie Kobyłańskim. Kalendarze ściennie dopiero w późnych latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XX wieku zaczęły sukcesywnie wypierać te książkowe.

Myśliwskie kalendarze książkowe, książeczkowe i kieszonkowe

Pierwszy książkowy „kalendarz myśliwski”, specjalnie redagowany dla myśliwych – hodowców, to „kalendarz myśliwski zgodny z ustawą z dnia 30 stycznia 1875 r.”, wydany we Lwowie w 1876 roku przez Romana Potockiego. Dziś unikatowy – wielka rzadkość. Kalendarz ten liczył tylko 31 stron. Taką informację znalazłem w artykule J.W. Kobyłańskiego w „Kalendarzu Leśnym” z 1937 roku. To samo powtórzył prof. Edward Topik w „Drobiazgach Łowieckich”.

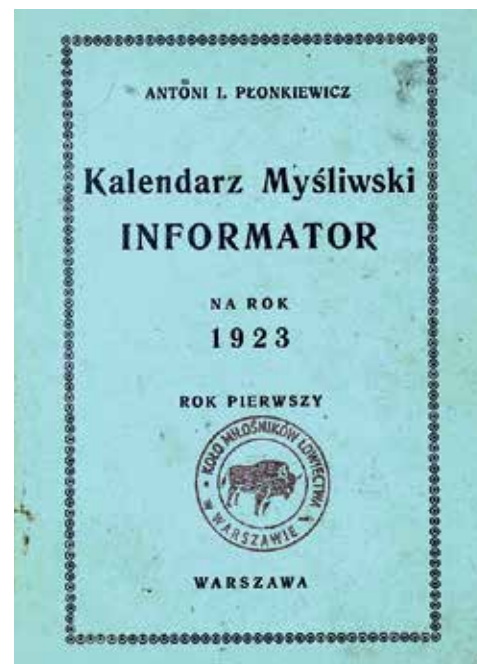
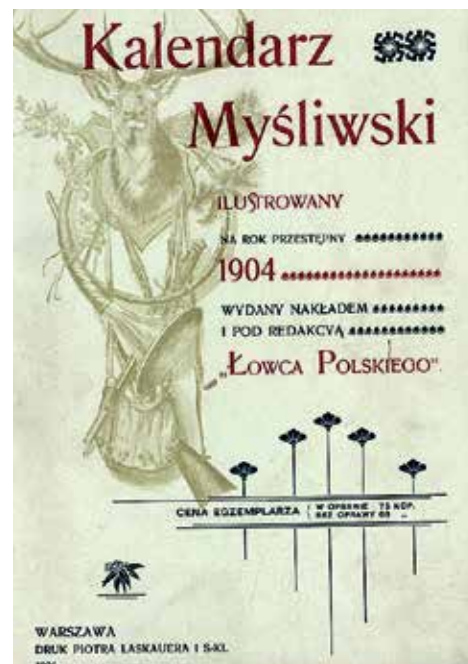
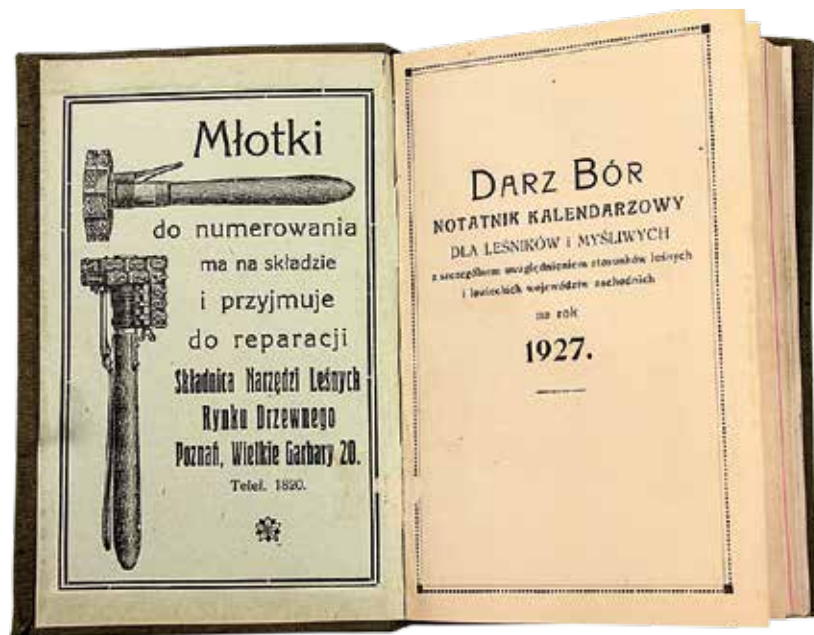
Szukając materiałów w bibliotekach, czytelniach i zbiorach prywatnych, znalazłem jeszcze jeden, o wiele starszy, kalendarz pod nazwą „Kalendarz wskazujący, jakie w ciągu roku są ważniejsze zatrudnienia Leśne i Łowieckie”, autorstwa Fryderyka Helda, wyda-

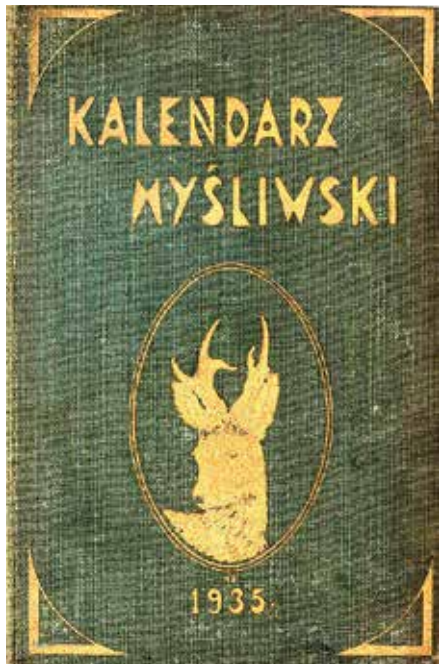
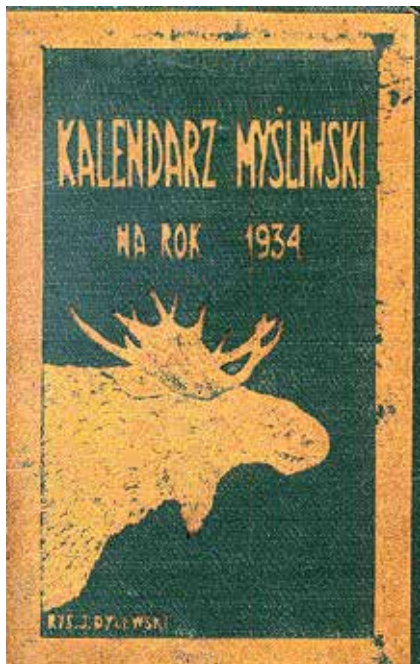
ny w Bydgoszczy w 1817 roku. Na stronie wewnątrz, zaraz po przedmowie „Kalendarz Leśny i Łowiecki”. Fryderyk Held rozpoczął nad nim pracę tuż po otrzymaniu nominacji na Urząd Jeneralnego Nadleśniczego w 1811 roku. Opóźnienie wydania opisał w przedmowie w ten oto sposób: „a tak powstał niniejszy kalendarz Leśniczy i Myślistwa, którego wydanie jedyne dla ciągłych rozruchów wojennych odłożone być musiało”. Kalendarz ten liczy 18 stron druku.

Po sześćdziesięciu czterech latach od wydania tego kalendarza i po pięciu latach od ukazania się kalendarza Romana hr. Potockiego właściciel małopolskiej księgarni w Jarosławiu, Henryk Bohuss, zapoczątkował w roku 1881 wydawanie kalendarza myśliwskiego. Kalendarz ten wychodził jeszcze w latach 1882 i 1883. Ze względów na małe rozmiary (9,5 x 15 cm) potocznie nazywany był, mimo że nie miał tego w nazwie, „kieszonkowym kalendarzem myśliwskim”. Ze względu na kłopoty finansowe Wydawcy, ostatni rocznik, 1883, ukazał w ograniczonym nakładzie, prawdopodobnie

58 egzemplarzy, liczył 174 strony. Od strony 61 drukowany był miesięcznik myśliwski, na końcu każdego rocznika było miejsce na notatnik i wykaz miesięczny ubitej zwierzyny. Wszystkie trzy roczniki wydawane w Jarosławiu są wielką rzadkością.

Od roku 1884 fachowe wydawanie kalendarza myśliwskiego obejmuje redakcja „Łowca” – Organu Galicyjskiego Towarzystwa Łowieckiego. Kalendarze w tym samym formacie miały w tytule „Łowca – Kalendarz Myśliwski i Rybacki”, wychodziły w latach 1884, 1885, 1886 i 1888. Od roku 1889 oraz w latach 1890, 1893 i 1896 – w celu zmniejszenia wydatków – w porozumieniu ze Szkołą Leśną we Lwowie, wydawano wspólny kalendarz, zmieniając tytuł na „Łowca – Kalendarz Myśliwski Rybacki i Leśny”. Kalendarz ten w dalszych latach, tj. 1901, 1902 i 1903, nieco mniejszego formatu nie wydawało już Galicyjskie Towarzystwo Łowieckie, lecz były redaktor „Łowca” – Edmund Kolbuszowski. Trzy ostatnie roczniki ukazały się pod nazwą „Kalendarz Myśliwski Leśny i Rybacki”.





Kalendarze te, pomimo kłopotów finansowych i nie-regularności ukazywania się, cechowała zewnętrznie piękna, ciemnozielona okładka ze złoceniami, a we-wnątrz na ponad 200 stronach można było znaleźć fachowe porady i zapiski.

W rok po ukazaniu się kalendarza lwowskiego – w Warszawie w 1885 i rok później w 1886 – poja-wiły się kalendarze książkowe pod nazwą „Rocznik Myśliwski”. Wydawcami publikacji byli Julian Biesie-kierski i Stanisław Rewieński. Roczники te uważa się za pierwsze kalendarze książkowe wydane w Królestwie Polskim. Po sześcioletniej przerwie właściciel składu broni, prochów i przyrządów myśliwskich, Bazyli Ronczewski, wydał w Warszawie „Kalendarz Myśliw-ski Ilustrowany” na rok 1892. Kalendarze te należały do najlepiej redagowanych pod względem treści, jak i formy, dlatego zapewniło im byt aż do 1900 roku łącznie. W 1901 roku Wydawnictwo Ronczewskie-go przeszło na własność Łowca Polskiego. Kalenda-rze pod redakcją Jana Sztolcmana, redaktora naczel-

nego Łowca Polskiego, wydawane były nakładem Warszawskiej Spółki Myśliwskiej do 1914 roku.

W Warszawie fabryka broni Roberta Zeglera wy-dała „Kalendarz Kieszonkowy Myśliwski” na rok 1903. Kalendarz miał okładkę płócienną, a drukowała go Gazeta Rolnicza. Na wewnętrznej stronie tytułowej zamieszczono napis „wydany przez amatorów myśli-wych”. Kalendarium obejmowało okres od stycznia do grudnia 1903 roku. Drukowany był w 1902 roku. Nakładem tej samej Gazety Rolniczej ukazał się dru-gi, a zarazem ostatni wydany przez amatorów my-śliwych, „Kalendarz Kieszonkowy Myśliwski” na rok 1903/4. Kalendarium tego kalendarzyka rozpoczyna się w sierpniu 1903 i kończy się w czerwcu 1904 roku. Na papierowej okładce zewnętrznej podano rok dru-ku 1903, natomiast na wewnętrznej stronie tytułowej widnieje rok 1904.

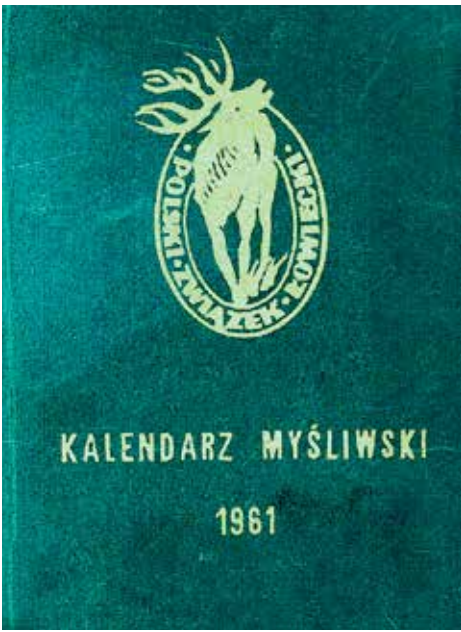
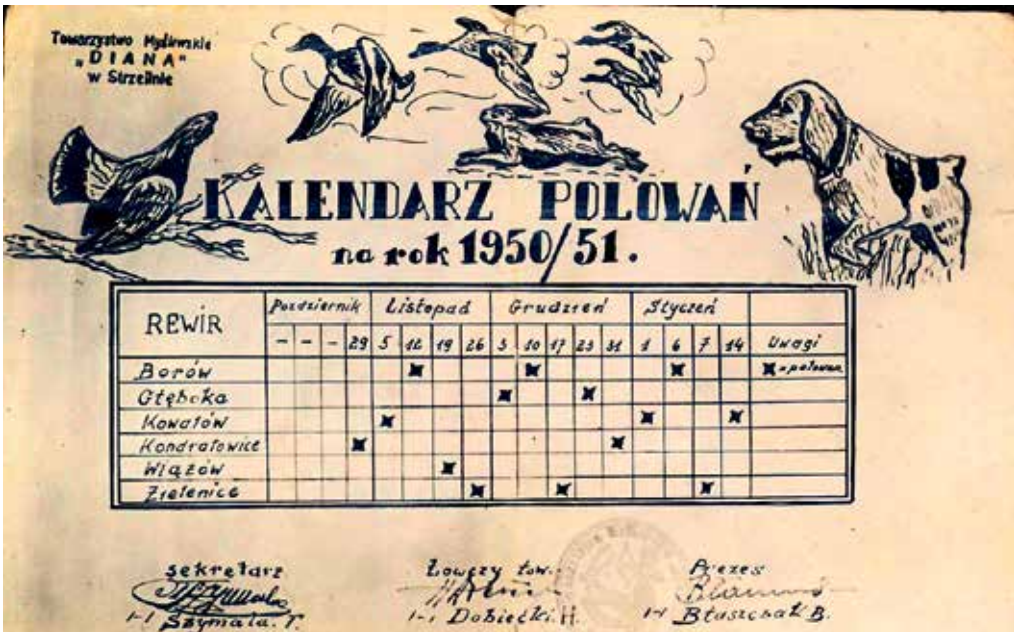
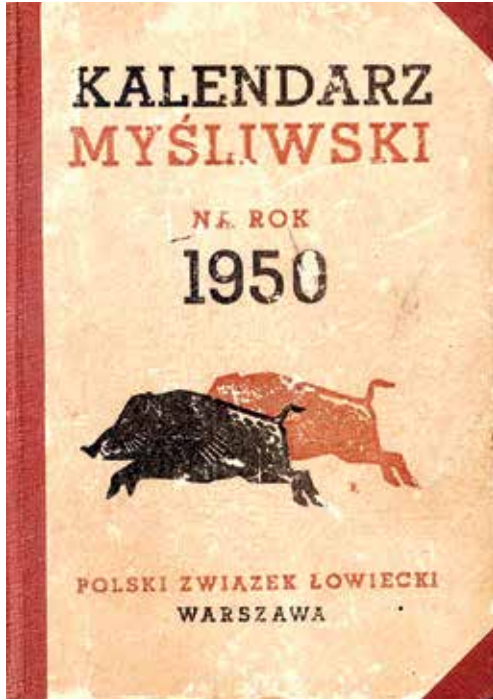
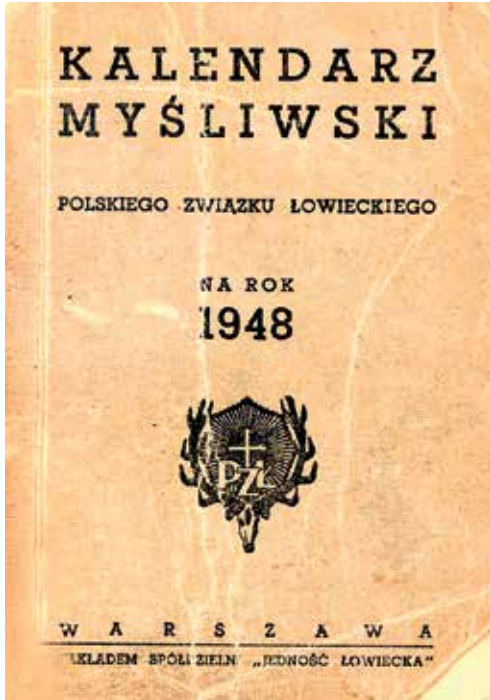
Nakładem drukarni Feliksa Westa w 1909 roku ukazał się czterostronicowy „Łowiecko – Rybacki Ka-lendarzyk kieszonkowy dla Królestwa Galicji i Lodo-

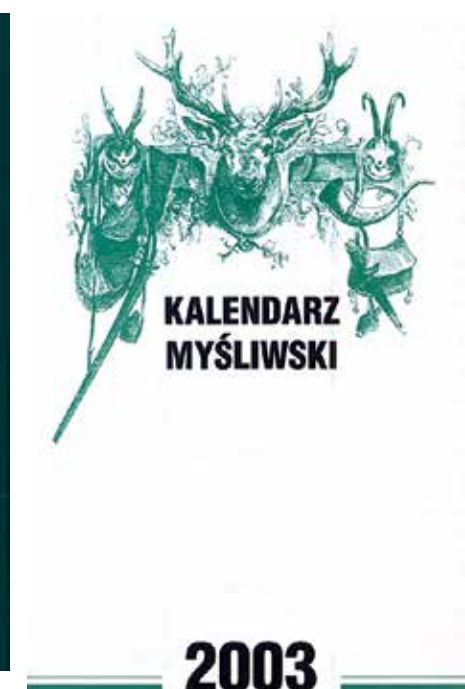
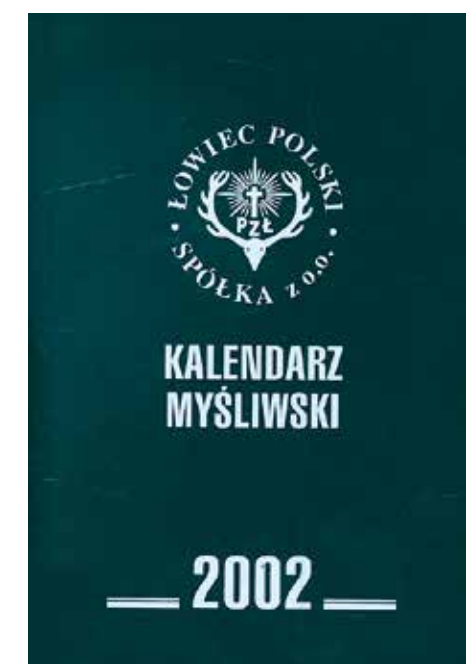
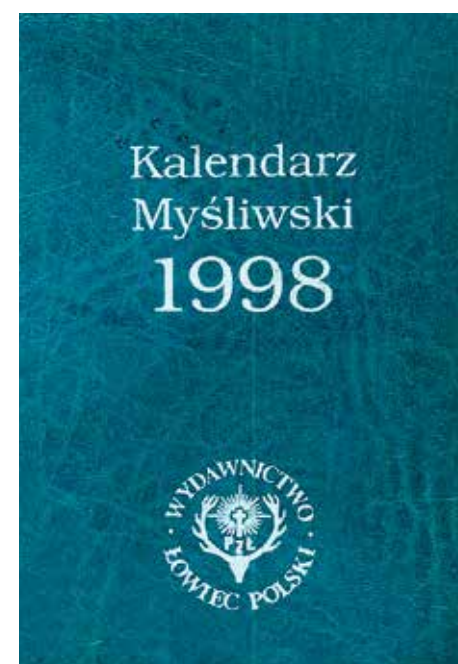
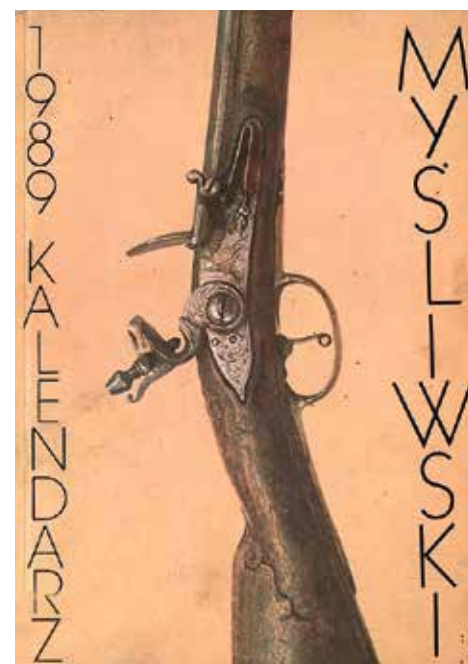
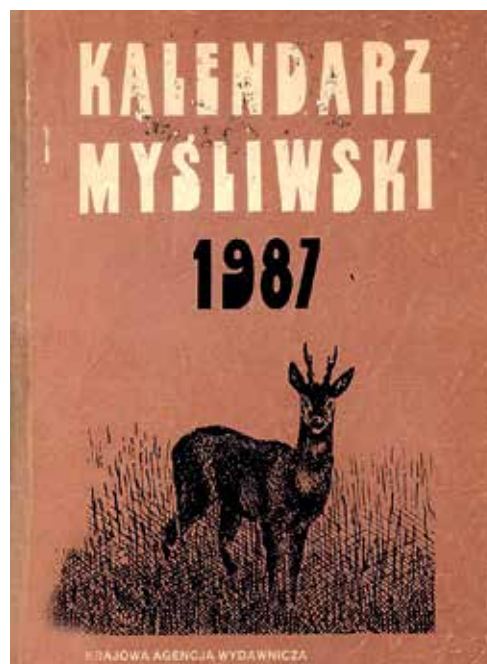
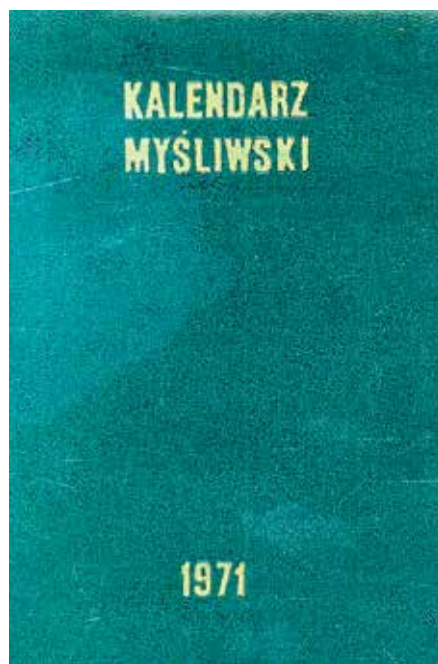
merii z Wielkim Księstwem Krakowskim”. Pierwszym, a zarazem niezbyt udanym debiutem w odrodzonej Polsce, był „Kalendarz Myśliwski Informator” na rok 1923, wydany przez Antoniego Płonkiewicza.

W 1925 roku poeta, myśliwy – Julian Ejsmond – wydał miniaturowy „Ilustrowany Kalendarzyk Myśliw-ski”. Każdy miesiąc w tym kalendarzu opatrzony był rysunkiem Włodzimierza Korsaka i bajką J. Ejsmonda. W latach 1915-1922 i w 1924 roku na rynku nie poja-wił się żaden kalendarz myśliwski. Ciszę tę przerwał „Kalendarz Myśliwski” na rok 1928, wydany w Gnieź-nie, nakładem fabryki broni myśliwskiej Stanisława Nakulskiego. Kalendarz reklamował firmę i rozdawa-ny był stałym klientom, przez co nie trafił do szero-kiego kręgu Czytelników. Przeszedł niezauważalnie. Rok wcześniej ukazał się w małym nakładzie „Darż Bór. Notatnik kalendarzowy dla leśników i myśliwych z szczególnem uwzględnieniem stosunków leśnych i łowieckich województw zachodnich”, na rok 1927.

W 1928 roku na rynku wydawniczym pojawił się „Kalendarz Myśliwski”, redagowany przez Juliana Ej-

smonda, w dużym forma-cie książkowym. W latach 1929 i 1930 ukazywał się pod nazwą „Poradnik Kalendarz Myśliwski”. Oprócz wspomnianego kalen-darza Juliana Ejsmonda, nakładem Ludowej Agencji Prasowej w Warszawie ukazał się „Ludowy Kalendarz Myśliwski” na rok 1930. Wydany był w podobnym formacie, a redaktorem tego pierwszego kalenda-rza myśliwskiego dla ludu był Aleksander Olkiewicz, założyciel Centralnego Związku Wiejskich Kółek My-śliwskich. Od 1931 roku wydawanie kalendarzy my-śliwskich zdominował Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich. W pierwszym roku ukazał się w formie książki „Informacyjny Kalendarz Myśliwski na





rok 1931", a w następnych latach, tj. od 1932 do 1939, w formacie notesu „Kalendarz Myśliwski”. Redakcję nad kalendarzami objął redaktor naczelny Łowca Polskiego W. Garczyński.

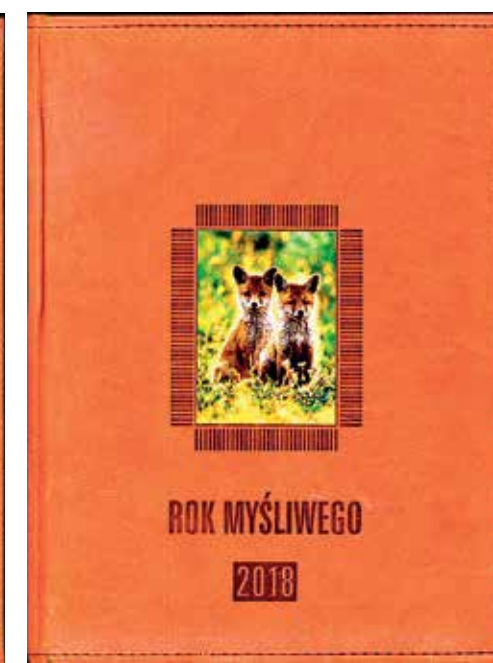
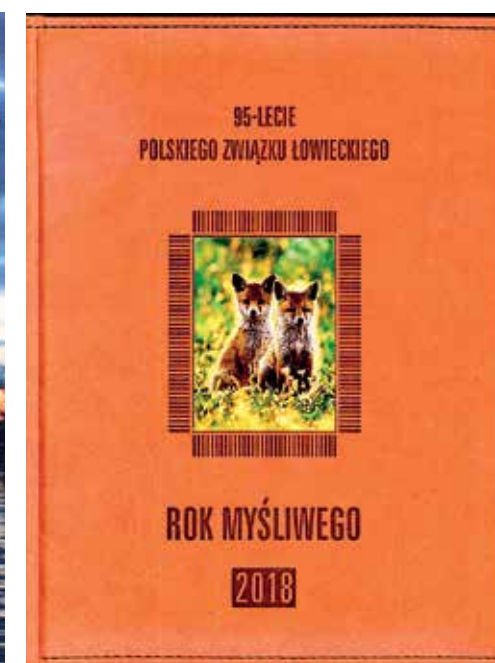
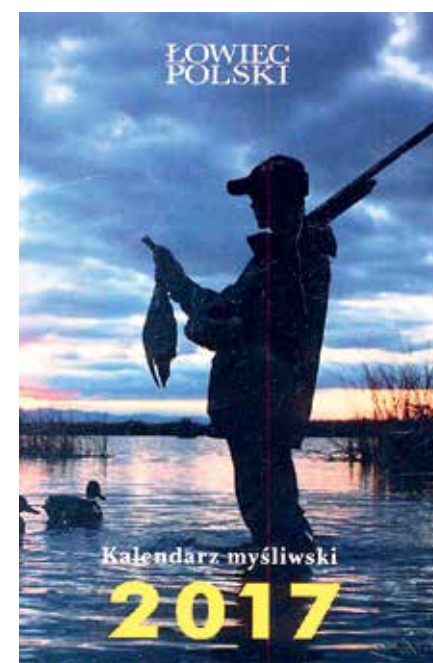
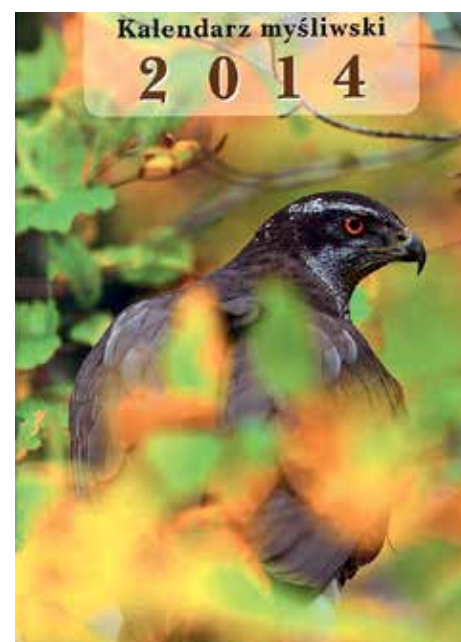
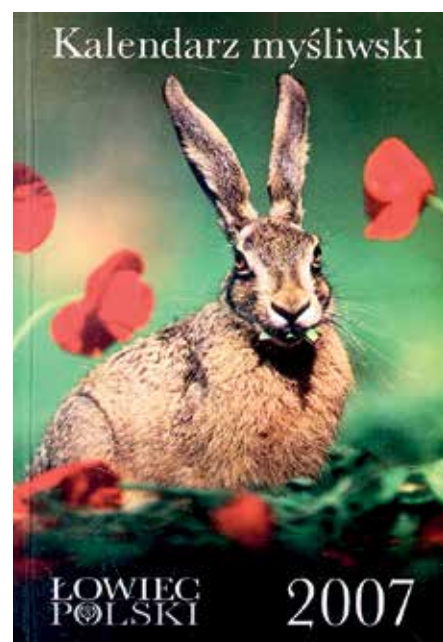
Łącznie pod redakcją Łowca Polskiego ukazały się 23 kalendarze – 14 w latach 1901-1914 oraz 9 w latach 1931-1939. Powyższe zestawienie jest encyklopedycznym skrótem na temat naszych kalendarzy myśliwskich, wydawanych przed II wojną światową. Oprócz oficjalnie wydawanych kalendarzy myśliwskich, istnieje jeszcze bardzo duża liczba kalendarzy wydawanych przez Towarzystwa, Kluby i niezrzeszone koła myśliwskie. Znaleźć w nich można informacje dotyczące okresów ochronnych, a także aktualny regulamin polowań, statut czy ustawę łowiecką. Są w tej grupie także informacje o terminach i miejscach

wykonywania polowań zbiorowych. Nie tylko Towarzystwa, Stowarzyszenia, Kluby i Koła Myśliwskie wydawały swoje kalendarze. W 1938 roku uczeń klasy IV Miejskiej Szkoły Sztuk Zdobniczych w Warszawie, Zbigniew Bogucki, wykonał pod kierownictwem prof. Wacława Radwana „Myśliwski Kalendarzyk”, który powielono w szkole w liczbie 10 egzemplarzy. Kalendarzyk liczył 18 stron.

Prezentację kalendarzy okresu przedwojennego rozpocząłem od zaginionego pierwszego kalendarza ściennego z 1863 roku, opisanego przez kapitana Józefa Władysława Kobyłańskiego, a zakończę opisem jedyne w swoim rodzaju, o unikatowym projekcie, kalendarza o wymiarach 24 x 84 cm, jakim jest „Kalendarz Myśliwski” na rok 1942. Autorem tego nieukończonego kalendarza był

podoficer internowany i osadzony w Oflagu VI E Dorsten, ukrywający się pod pseudonimem „Darz Bóg”.

Kalendarze powyżej opisane, wydane w okresie przedwojennym, są niejednokrotnie bardzo rzadkimi małymi dziełami sztuki, solidnie wykonanymi, oprawionymi w okładki w barwach boho, ozdobionymi ornamentyką i napisami w kolorze złota. Dodatkowo w kalendarzach myśliwskich wydawanych w latach 1892-1900 przez Bazylego Ronczewskiego, a od 1901 do 1914 przez Warszawską Spółkę Myśliwską, pod redakcją Jana Sztolcmana, redaktora naczelnego Łowca Polskiego, znaleźć można z pięknymi, tematycznymi okładkami oddzielnie wydrukowane i dołączone do tekstu cenniki składu broni Warszawskiej Spółki Myśliwskiej B. Ronczewskiego. Duża część kalendarzy myśliwskich z tego okresu nie zawierała tych cenników, dlatego że były one często z nich usuwane. Oddzielnie oprawione cenniki wykorzystywano w sklepach i komisach z bronią myśliwską oraz jako pozycje samoistne, gromadzone w zbiorach prywatnych bibliotek.



Bogactwo tematów zawartych w danych rocznikach można prześledzić korzystając z Wielkopolskiej Biblioteki Cyfrowej i pobrać je z Biblioteki Myśliwskiej Krzysztofa Daszkiewicza i Leszka Szewczyka <https://www.wbc.poznan.pl/dlibra>

Kończąc prezentację kalendarzy wydawanych przed wybuchem drugiej wojny światowej, muszę wspomnieć o jakże odmiennym i niewątpliwie najpiękniejszym kalendarzu myśliwskim. Nakładem poznańskiej księgarni J. K. Żupańskiego, z drukarni Józefa Ignacego Kraszewskiego w Dreźnie, w 1870 roku ukazało się wyjątkowe dzieło „Rok Myśliwca” Wincentego Pola (1807-1872), poety i profesora nadzwyczajnego geografii powszechnej na Uniwersytecie Krakowskim. Utwór napisany wierszem i prozą, na kanwie wspomnień z polowań w bieszczadzkich lasach z Ksawerym Krasickim, ułożony został w formie kalendarza niebieskiego, w którym to Autor połączył panujące zwyczaje myśliwskie i zakorzenionymi głęboko tradycjami z zegarem niebieskim, który z głosami i widokami natury tworzy poetycki hołd dla natury i tradycji łowieckiej. Treści każdego miesiąca uzupełniają wykonane z dużą wrażliwością drzeworyty Juliusza Kossaka (1824-1899). W połączeniu z tekstem tworzą one harmonijną całość. Jest to swoisty pamiętnik myśliwski, w którym romantyzm natury spotyka się z tradycją myśliwską polskiego dworu. W 1867 roku, a więc trzy lata przed ukazaniem się wspomnianego dzieła Wincentego Pola, w unikatowym nakładzie ukazało się dwanaście tablic, oddzielnie odbitych i oprawionych w twarde okładki z tytułem „Kalendarz Łowiectwa ułożony z Roku Myśliwca Wincentego Pola”. Podobne strony tego kalendarza drukowane były w Kalendarzu Ilustrowanym Józefa Ungra, wydanym na rok 1867.

Kalendarze myśliwskie po 1945 roku

Kalendarze wydawane po zakończeniu drugiej wojny światowej nie posiadały już takiego uroku, jak te wydane wcześniej. W większości „zdobiła” je papierowa lub ceratowa okładka z odcisniętym lub wydrukowanym aktualnym dla danego roku znakiem Polskiego Związku Łowieckiego lub Wydawnictwa Łowiec Polski. Pierwsze dwa Kalendarze Myśliwskie, redagowane przez Mieczysława Mniszka Tchorznickiego, to małe vademecum myśliwego. Kalendarz na rok 1948 miał okładkę kartonową, miękką, wydany był nakładem Spółdzielni Jedność Łowiecka. Następny, na rok 1950, wydany nakładem Polskiego Związku Łowieckiego, zawierał 560 stron.

Od roku 1959 oraz w latach 1960-1963, 1965-1967, 1968 oraz 1989 i 1990 kalendarze miały większy format – B5, wydane były nakładem Państwowego Wydawnictwa Rolniczego i Leśnego.

W latach 70. XX wieku kalendarze drukowane były nakładem Polskiego Związku Łowieckiego (1971 i 1974) oraz Zarządu Głównego PZŁ (1978, 1981 i 1985), z kolei w latach 1987-1989 kalendarze wydawała Krajowa Agencja Wydawnicza, a w 1992 roku Agencja Reklamy i Wydawnictw Artystycznych KAW. W latach 1994-1995, kalendarze wydawane były nakładem Oficyny Edytorskiej Wydawnictwa Świat. Od 1998 i w latach 2002-2003 oraz 2006-2017 kalendarze wydawane były pod redakcją Andrzeja Wierzbieńca, nakładem Wydawnictwa Łowiec Polski sp. z o.o. Kalendarzyki posiadały piękne, kolorowe i lakierowane okładki, na stronie wewnętrznej nazwę Kalendarz Kieszonkowy. Kalendarium każdego rozpoczynającego się miesiąca ozdabiała rycina z epoki, ukazująca postać wytrawnych myśliwych i rysunki zwierzyny, a także informacje dotyczące okresów ochronnych zwierzyny, wyceny trofeów, kuchni myśliwskiej oraz dziennik myśliwski, dekalog kynologa i regulaminy lub akty prawne.

W roku jubileuszu 95-lecia Polskiego Związku Łowieckiego, nakładem Oficyny Wydawniczej Forest, ukazał się kalendarz „Rok Myśliwego 2018”. Kalendarz ten w swojej warstwie ilustracyjnej przywoływał obrazy z przeszłości – pokazując łowiecką codzienność i ważne wydarzenia życia myśliwego, a także dokumentował i przedstawiał chronologicznie najważniejsze informacje, zaczerpnięte z kart historii Polskiego Związku Łowieckiego. Każdy miesiąc otwierały teksty autorstwa Krzysztofa Mielnikiewicza, Krzysztofa J. Szpetkowskiego i Leszka Szewczyka. Kalendarze oprawione są w ekoskórę, mają duży format (21,5 x 27 cm), piękne ilustracje z epoki i współczesne oraz liczne całostronicowe tablice oceny wieku, budowy i typów poroży poszczególnych gatunków jeleniowatych oraz zasady pomiarów tych trofeów. Ukazały się dwa warianty tych kalendarzy: jeden z wytłoczonym napisem „95-lecie Polskiego Związku Łowieckiego” i drugi bez tego napisu.

Wymienione tu kalendarze myśliwskie to pozycje samoistne tekstowo i wydawniczo. Jest jeszcze bardzo duża liczba różnych kalendarzy: od powszechnych, leśnych, rolniczych, gospodarskich po astronomiczne, w których to zamieszczono samodzielne tekstowo opisy z kalendarzem polowań zbiorowych oraz niezliczone formy kalendarzy ściennych i coraz popularniejszych terminarzy łowieckich.



Łowiec Wrocław

Rozmawia: Jacek Seniów

Zdjęcia: Archiwum KŁ Łowiec Wrocław, Adam Potasz, Tomasz Stasiak

Mam przyjemność spotkać się z myśliwymi wrocławskiego koła łowieckiego „Łowiec”, które gospodaruje w trzech obwodach o różnej konfiguracji terenu – od nizin po góry. O tym i o innych istotnych dla nich sprawach, związanych z przyrodą, kulturą łowiecką i kołem, rozmawiam z jego myśliwymi: Stanisławem Chorążyczewskim, Sławomirem Jaworskim, Grzegorzem Jędrzejewskim, Arturem Maćkowiakiem i Andrzejem Szczudło.

– Jak taka różnorodna paleta ukształtowania terenu wpływa na prowadzoną przez Was gospodarkę łowiecką?

– Tak, paletę naszych trzech obwodów, położonych w obrębie Województwa Dolnośląskiego, mamy faktycznie bogatą, obejmującą góry, pogórze i niziny. Najciekawszy krajobrazowo i przyrodniczo jest obwód górski, położony w Sudetach Zachodnich. Częściowo usytuowany jest w Górach Izerskich, a częściowo w Karkonoszach, na którego terenie leży słynna Polana Jakuszycka. Jest to obwód o 95% powierzchni leśnej. Graniczy z Karkonoskim Parkiem Narodowym, Rezerwatem Torfowiska Doliny Izery i miastem Szklarska Poręba.

Obwód górski krajobrazowo jest po prostu piękny, ale siedliskowo – w kwestii warunków żywienio-

wych dla bytowania zwierzyny – jest ubogi. Z surowców mineralnych na tym terenie występują kwarcy żyłowe, a w okolicach Jakuszyca złoża torfu, wykorzystywane jeszcze z początku XXI wieku do celów leczniczych. Klimat występujący na tym obszarze cechuje się długim okresem zalegania pokrywy śnieżnej, co stwarza dobre warunki dla uprawiania narciarstwa biegowego. Ciekawostką jest to, że przez obwód biegnie granica wododziałów Morza Bałtyckiego – zlewnia Kamiennej oraz Morza Północnego – zlewnia Izery.

W obwodzie górskim dominują lasy iglaste, gdzie przeważającymi gatunkami są świerki pospolite i modrzewie europejskie. W dolnych partiach obwodu Nadleśnictwo Szklarska Poręba realizuje od lat 90. XX wieku restytucję jodły pospolitej. Również w ni-

żej położonych częściach obwodu występuje sporo buczyny górskiej z domieszką innych gatunków liściastych, jak brzoza brodawkowata czy topola osika. W najwyżej położonych partiach występuje sosna górska – kosodrzewina. W runie leśnym natomiast rośnie borówka czarna oraz w górnej części – borówka brusznicza. Do ciekawszych gatunków roślin, które rosną w naszym w obwodzie, zaliczyć można: arcydzięgiel litwor, goryczkę trojeściową, jałowiec halny, wełnianeczkę darniową, podrzeń żebrowiec i widłak jałowcowaty.

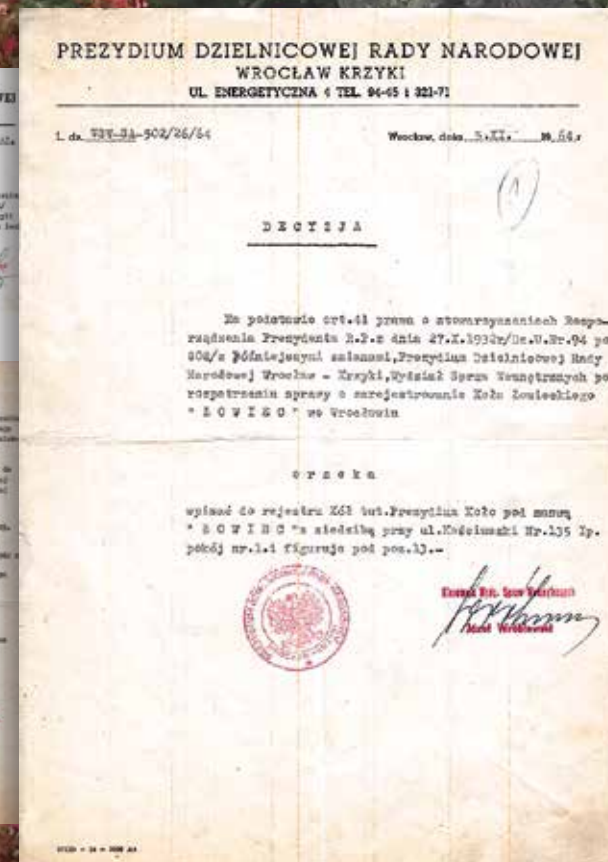
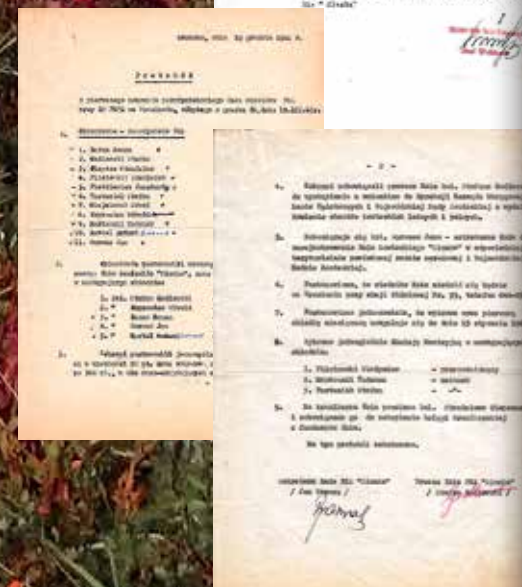
Dominującą zwierzyną łowną w obwodzie górskim są jelenie. Ponadto występują tu niewielkie populacje saren oraz dzików, których odstrzał systematycznie zwiększa się od kilkunastu lat. Ze zwierzyny drobnej występują lisy i kuny, a sporadycznie także inwazyjne gatunki obce (IGO) – jenoty i szop. Już drugą dekadę towarzyszą nam wilki.

Osobliwością przyrodniczą jest występowanie cietrzewia, który jako gatunek podlegający ścisłej ochronie, objęty jest programem „Czynnej ochrony cietrzewia na gruntach w zarządzie lasów państwowych w Polsce”. Program ten – jako myśliwi wspieramy – wszelkimi dostępnymi nam środkami. Niestety, niepoahamowywana w ramach „ochrony gatunkowej” antropopresja przynosi odwrotny skutek. Dziwne jest to, że los tego polskiego kuraka leśnego jest

całkowicie obojętny różnego rodzaju organizacjom ochraniarsko-ekologicznym i Ministerstwu. Jak przysłowiowe lwy walczą o inne gatunki, aby je zdjąć z list gatunków łownych, natomiast dramatu cietrzewia konsekwentnie zdają się nie dostrzegać i milczą na ten temat.

Jak na dłoni widać tu smutną prawdę o ścisłej ochronie, która szybko prowadzi do zapomnienia o danym gatunku. Temat uważa się za zamknięty, a to, czy gatunek ma warunki do bytu już nikogo nie interesuje. Niestety, określenie „ściśle chroniony” tych warunków nie zapewnia, co urzędników i eko-działaczy już nie interesuje. Wszak oni terminologicznie gatunek „ściśle ochronili” i są „piękni” we wszystkich mediach. To zdaje się być tu najważniejsze. Nadzieję gatunku pozostają „brzydki” leśnicy i „jeszcze brzydsi” myśliwi, w takich granicach, w jakich mogą działać.

Obwód naszego koła nie graniczy z gruntami rolnymi. Koło dzierżawi od nadleśnictwa ponad 10 ha pastwisk, które użytkuje jako trwałe użytki zielone (TUZ). Zarówno Szklarska Poręba, jak i położona w środku obwodu osada Orle, w historycznych czasach słynęły z hutnictwa szkła kryształowego oraz z eksploatacji kwarcu w nieczynnej dziś Kopalni Stanisław. Tereny te należały do dóbr rodu Schaffgotschów, któremu zawdzięczamy pierwszy na polskich ziemiach patent łowiecki.





Walory łowieckie obwodu straciły obecnie na znaczeniu z powodu bardzo silnej penetracji turystycznej tego niezwykle atrakcyjnego obszaru gór. Jest to związane z rozwojem zabudowy dewelopersko-hotelowej w Szklarskiej Porębie, jak i z wybudowaniem w środku obwodu Dolnośląskiego Centrum Sportu w Jakuszycach oraz usytuowanego – częściowo w obwodzie – kompleksu tras zjazdowych Ski Arena Szrenica. Nie bez znaczenia są również liczne imprezy sportowe. W okresie od maja do października, praktycznie w każdy weekend, na terenie obwodu odbywają się albo imprezy rowerowe, albo biegowe, rajdy piesze itp. Wpływa to niekorzystnie na warunki bytowania zwierząt zamieszkujących ten obwód. Podobnie jak rozwój zabudowy, który przywiódł ją na sam skraj lasu, likwidując ekotony mogące stanowić bazę pokarmową dla zwierząt.

Baza żerowa obwodu jest bardzo słaba, a zimy długie i z dużą pokrywą śnieżną. Minimalna powierzchnia łąk i lasy świerkowe – nawet z posiadanym poziomem dostępnej domieszki drzew liściastych – nie stanowią odpowiedniej bazy żerowej dla zwierzyny. Stąd działania naszej gospodarki łowieckiej są nastawione przede wszystkim na jej wspomoczenie. Dzierżawimy od Nadleśnictwa Szklarska Poręba i uprawiamy 10 ha łąk. W obwodzie mamy w odpowiedniej liczbie nie tylko pańniki, ale także specjalne magazyny karmy, w tym jeden kontenerowy.

Od wielu lat na terenie naszych pozostałych obwodów dodatkowo pozyskujemy 8-10 ton kasztanów i żołądzi, które trafiają przede wszystkim do obwodu górskiego. Punkty wspomagającego zwierzynę dokarmiania zimowego lokalizujemy w miejscach oddalonych od szlaków turystycznych, tras różnych biegów i wyścigów, tak aby zapewnić jej spokój w czasie żerowania. Nie ułatwia to nam działania i na pewno podnosi skalę jego trudności, a tym samym i koszty. Od razu po opadach śniegu drogi górskie stają się trasami biegowymi, co uniemożliwia nam dojazd pojazdami kołowymi do miejsc dokarmiania. Na szczęście mamy w kole grono Kolegów, jak: Julian Bajda, Jerzy i Artur Maćkowiakowie, Aleksander i Michał Orłowscy, Grzegorz Pinkowicz, Adam Potasz czy Augustyn Turski, którzy potrafią doskonale zorganizować takie działania, wciągając do nich innych. W tym obwodzie praktycznie nie mamy rolniczych szkód łowieckich. Co najwyżej grożą nam opłaty karne za niewykonanie planu pozyskania jeleni, co jest związane z przepisami o ochronie lasu przed szkodami łowieckimi. Podstawą dokarmiania jest siano i sianokiszonka.

Trzeba też podkreślić, że mimo tak dużej presji turystyczno-sportowej, przebywania na terenie obwodu dużych i aktywnych grup ludzi, jak i nastawianej celowo niechęci do myśliwych, nie spotykamy

się z przypadkami wandalizmu lub manifestowania antyłowieckiego. Nie znamy zatargów tego typu. Z pewnością ma na to wpływ zauważalny wysoki poziom gospodarki łowieckiej i jej pozytywny skutek dla zwierzyny.

Inaczej wygląda prowadzenie gospodarki łowieckiej w obwodzie, który mamy w gminie Strzelin, w Nadleśnictwie Henryków, na Równinie Wrocławskiej. Występują tu gleby pszenno-buraczane, przecinane śródpolnymi remizami i łaskami, jak i korytem rzeki Ślęzy oraz rowami melioracyjnymi. Przeważa rolnictwo wielkoobszarowe, z wszystkimi swoimi plusami i minusami dla bytowania zwierzyny. Uciążliwością dla zwierzyny jest ruchliwa droga Wrocław – Strzelin. Jest to obwód o idealnych warunkach dla saren. Chociaż spotykamy tu także, lecz zdecydowanie mniej liczne, jelenie i dziki. Podstawą zwierzyny drobnej są bażanty i zajęce, które są obecnie w naszym obwodzie w bardzo dobrej kondycji populacyjnej.

Podobnie jak w górach, z uwagi na duży ruch turystyczny i względy bezpieczeństwa, w tym obwodzie polujemy zbiorowo przede wszystkim tzw. „metodą szwedzką”, czyli z użyciem specjalnych żywek. Z uwagi na ochronę zwierzyny drobnej, dużo uwagi poświęcamy redukcji drapieżników, stąd często gości my członków Klubu Wabiarzy PZŁ.



z Sekcji Wabienia Drapieżników. Bardzo pozytywnie oddziałuje w tym obwodzie – zainicjowana wiele lat temu przez naszego, Kolegę Jana Ciszewicza – akcja założenia kilkunastu kilometrów pasów ochronnych zieleni w południowej części dawnego województwa wrocławskiego. W tym obwodzie dobrymi duchami naszych działań są Koledzy Andrzej i Józef Szczudło.

Nasz trzeci obwód jest położony w Dolinie Baryczy i w części Parku Krajobrazowego Dolina Baryczy. Zwierzyną dominującą są tutaj jelenie. Populacja dzików odbudowuje się po afrykańskim pomorze świń. Proces ten ma też miejsce w pozostałych obwodach. Atrakcją jest możliwość polowania na dzikie gęsi i dzikie kaczki. W tym obwodzie prowadzimy własną gospodarkę rolną, uprawiając na potrzeby koła kukurydzę i mieszanki zbożowe na areale ponad 4 ha. Pozyskane plony zasilają obwód górski, a w dwóch

nia w sprawie czynników i wskaźników, służących kategoryzacji obwodu łowieckiego. Obecnie dwa nasze obwody tylko nieznacznie przekraczają widełki zawarte w rozporządzeniu dla obwodów kategorii bardzo dobrej, a ceny skupu tusz zwierzyny na aktualnym poziomie nie mogą nawet w połowie zrekomensować kosztów dzierżawy. Przyjęta przez ustawodawcę jednostka jelenia – jako sposób do wyliczenia kategoryzacji – jest szczególnie niesprawiedliwa, biorąc pod uwagę obwód w Szklarskiej Porębie, gdzie wagi tusz jeleni sudeckich znacząco odbiegają od tusz jeleni pozyskiwanych na terenach nizinnych czy też terenach górskich Karpat.

W naszej opinii, sprawiedliwą formą opłaty dzierżawy mógłby być podatek odprowadzany od pozyskanej zwierzyny w stosunku do jej aktualnej ceny w punkcie skupu. Byłby to po prostu ustalony procent od wartości pozyskanej zwierzyny.

z użytkowaniem środowiska naturalnego ma nieskuteczne ograniczenia, a niejednokrotnie wygląda to tak, że zaspokojenie wygody korzystania ze środowiska, a także płynące z tego dochody, przesłaniają potrzeby przyrody. Dziwi fakt, że instytucje powołane do ochrony środowiska lub pretendujące do tej roli, tego nie widzą lub udają, że tego nie dostrzegają.

Pole, które nam pozostało w ramach działalności łowieckiej, to ograniczanie oddziaływania drapieżników na cietrzewią populację. Czynimy to indywidualnie i grupowo, choćby w organizacji takich przedsięwzięć, jak Karkonosko-Izerski Konkurs Wabiarzy o Złotą Lirę, który od kilku lat ma miejsce na terenie Nadleśnictwa Szklarska Poręba i Świeradów. Działania te rozpoczęły się z inicjatywy naszego Koła i Koła Łowieckiego „Im. Św. Huberta” z Wrocławia w 2019 roku. Są one zasługą przede wszystkim Kolegów: Artura Maćkowiaka, Adama Potasza, Marka Przybylskiego – emerytowanego

Zasadniczo, odnosząc się do zmian siedliskowych, to cietrzew w Sudetach miał się najlepiej w pierwszych latach po klęsce ekologicznej z lat 80. XX wieku, gdzie powstały masowe wylesienia i halizny. Te otwarte przestrzenie i liczne wówczas borówczyska spowodowały wzrost populacji gatunku. Trend ten zaczął załamywać się z początkiem XXI wieku na skutek odnowień lasu, które doprowadziły do zaniku otwartych przestrzeni, a także zmiany stosunków wodnych – osuszaniu się torfowisk. Od kilku lat Lasy Państwowe wdrożyły działania, mające na celu zahamowanie trendu spadkowego populacji, poprzez poprawę warunków siedliskowych – usuwanie drzew i krzewów z aren tokowiskowych, utrzymywanie i odtwarzanie naturalnych torfowisk, odłów ptaków drapieżnych, kanalizację ruchu turystycznego, edukację, a także budowę wolier adaptacyjnych i wsiedlanie osobników, mające na celu wzmocnie-



pozostałych pasy zaporowe, przytrzymujące zwierzynę z dała od pól. Celem jest minimalizacja szkód łowieckich.

Zasadniczo w obu pozagórskich obwodach dobra współpraca z rolnikami – doceniającymi nasz wysiłek przy ochronie ich pól – oraz sprawnie działające komisje, szacujące szkody, są podstawą utrzymania wysokości odszkodowań na poziomie znośnym dla naszego budżetu. Tu głównymi motorami napędowymi naszych działań są Koledzy: Sławomir Jaworski i Adam oraz Mateusz Samiłowicz, a wspomagają ich dzielnie i nieustająco Koledzy: Grzegorz Piaskowski i Mariusz Świerczek. Dobrym duchem naszej kynologii jest Kolega Zdzisław Ziemiński. Z kolei Kolega Romuald Aleksander Olbrych wybudował wiatę myśliwską i kapliczkę w Borku.

Obecnie największą bolączką w prowadzeniu gospodarki łowieckiej w naszym kole są wysokie koszty dzierżaw obwodów łowieckich, wynikające z – niesprawiedliwego według nas – rozporządze-

Odrębnym problemem jest w obwodzie górkim oczyszczalnia ścieków w Szklarskiej Porębie, której niewydolność jest przyczyną zanikania pstrągów. Problem może bliższy wędkarzom, ale niewątpliwie negatywnie oddziałujący na środowisko naturalne.

– ***Smutnym paradoksem ścisłej ochrony gatunku jest u nas cietrzew, którego polską populację ta ochrona zdziesiątkowała, doprowadzając prawie do upadku. Cietrzew jest też ozdobą przyrodniczą Waszego górskiego obwodu. Co myśliwi mogą zrobić dla cietrzewia?***

– Niestety, jak widać na faktach, to chyba niewiele. W 1995 roku, kiedy obejmowano cietrzewia ścisłą ochroną gatunkową, o co zresztą zabiegali także myśliwi, szacowano jego populację na około 5000 ptaków. Aktualnie, według danych Uniwersytetu Warszawskiego, być może pozostało około 350 osobników. Nasza karkonoska populacja liczy mniej więcej 56 sztuk. To bardzo smutny fakt, pokazujący skutki biernej – a taką u nas się lansuje i realizuje – ścisłej ochrony gatunku. Antropopresja związana

łowczego okręgowego z Kalisza oraz Dariusza Szczepańskiego. W konkursie biorą udział najlepsi wabiarze z całego kraju. Plonem ostatniego było pozyskanie 71 sztuk drapieżników i inwazyjnych gatunków obcych (IGO). Od 2023 roku obszar konkursu rozszerzył się o obwody takich Kół Łowieckich, jak: „Jeleń” i „Głuszc” z Jeleniej Góry, „Knieja” Wrocław, „Głuszc” Lwówek Śląski czy „Wieniec” Świeradów. Bardzo aktywnie wspiera nas Zarząd Okręgowy PZŁ w Jeleniej Górze oraz położone tu nadleśnictwa. To jeden z przykładów naszej współpracy z nadleśnictwami, która ma miejsce nie tylko w kwestii cietrzewia.

W kwestii ochrony cietrzewia włączamy się we wszelkie działania Służby Leśnej. Prowadzimy też dokumentację fotograficzną i filmową cietrzewiego losu. Nasz Kolega, Adam Potasz, jest jej niezmordowanym Autorem, który dorobił się pokaźnego portfolio. Niestety, procesy prowadzące do ubywania przestrzeni przyjaznej dla bytu cietrzewia są poza naszym zasięgiem.

nie puli genowej populacji. Zadania te prowadzone były na terenie naszego obwodu w latach 2019-2022.

Ważnym elementem jest edukacja przyrodnicza, realizowana zarówno przez leśników, jak i myśliwych. Polega ona na uświadamianiu turystów, odwiedzających nasze góry, o konieczności przestrzegania przepisów, obowiązujących w strefach ochrony cietrzewia, ustanowionych Decyzją Regionalnego Dyrektora Ochrony Środowiska we Wrocławiu i uszankowania zakazów wstępu do ostoi zwierząt. Należy pamiętać, iż w strefach tych można poruszać się tylko po wyznaczonych szlakach turystycznych, a wokół tokowisk cietrzewi od 1 lutego do 31 sierpnia obowiązuje strefa ochronna w promieniu do 500 m. Ponadto od 1 grudnia do 1 marca strefę ochronną stanowi obszar, na którym ptaki przebywają w okresie zimowym wraz z obszarem w promieniu do 200 metrów od niego. Z dyscypliną turystów bywa, niestety, bardzo różnie. Oczywiście nie jest możliwe zamknięcie na przysłowiową kłódkę stref ochrony cietrzewia.



Naszym zadaniem jest natomiast ciągle kontynuowanie edukacji społeczeństwa oraz uświadamianie turystów o celach czynnej ochrony gatunków zagrożonych, ściśle chronionych. Ostatnie głuszcze były widziane w naszym obwodzie w latach 70. ubiegłego wieku. Zatem nie antropopresja, bowiem turystów w tych czasach było bardzo mało, tylko efekty zaniku starodrzewi i klęska ekologiczna w Sudetach doprowadziły do wyginięcia głuszców.

– **Członkowie założyciele w 1961 roku nazwę koła nawiązali do „długodziobej”, jak ją często zwiemy, czyli do słonki, ptaka z rodziny bekasowatych. Skąd później, w 1963 roku, zmiana nazwy koła na „Łowiec”?**

– Założycielami naszego koła byli Koledzy: Roman Baran, Stefan Godlewski, Edward Bartol, Stanisław Ciepacz, Witold Koprowicz, Tadeusz Markowski, Józef Olejniczak, Stefan Pastusiak, Władysław Piłatowski, Konstanty Pietkiewicz, Jan Warwas. Ich pierwsze ofi-

cialne zebranie miało miejsce 19 grudnia 1961 roku. Ustalono siedzibę koła i nazwę „Słonka”. Prezydium Dzielnicowej Rady Narodowej Wrocław Krzyki powiadomiło pismem z dnia 26.04.1962 roku o wpisaniu koła do rejestru Kół Łowieckich pod pozycją 5. Zarząd koła opracował statut i przedłożył do zatwierdzenia członkom założycielom, których grono powiększyło się wkrótce o Kolegów: Błażeja Filę, Wacława Krankowskiego (długoletniego łowczego i najstarszego obecnie żyjącego członka koła, rocznik 1928), Romana Olszewskiego, Stanisława Panka, Janusza Podlaśńskiego, Eugeniusza Ratajczaka i Janusza Szczęsnego. Przedłożony Statut został zaakceptowany przez członków założycieli wraz ze zmianą nazwy koła na „Łowiec” we Wrocławiu. Prezydium Dzielnicowej Rady Narodowej Wrocław Krzyki przyjęło Statut Koła i decyzją z dnia 05.11.1964 roku zarejestrowało Koło Łowieckie „Łowiec” z siedzibą we Wrocławiu, przy ul.

Kościuszkii pod pozycją 13. Wśród założycieli było dwóch członków Polskiego Związku Łowieckiego, którzy swoją przygodę ze Związkiem rozpoczęli już w 1938 roku. Byli to: Tadeusz Markowski i Jan Warwas. Co było powodem zmiany nazwy koła, trudno dzisiaj nam sprecyzować. Nie pamięta tego nawet nasz Senior, uczestnik tego spotkania, 97-letni Kolega, Wacław Krankowski. Po prostu taka była decyzja naszych Kolegów założycieli.

– **Łowiectwo to wspólna gra zespołowa. Nie tylko pomiędzy myśliwymi, ale kto wie, czy nie w większej mierze myśliwymi i miejscowymi społecznościami. Jakie są Wasze doświadczenia na tym polu?**

– Działalności łowieckiej koła zawsze towarzyszyły dobre, a czasami nawet bardzo dobre, stosunki ze społecznościami naszych obwodów. Ich intensyfikacja sięga 2019 roku, kiedy to z inicjatywy ówczesnego pracownika Urzędu Miejskiego w Szklarskiej Porębie, Kolegi Artura Maćkowiaka, pełniącego funkcję wicełowczego koła, Miasto Szklarska Poręba – wspólnie z Nadleśnictwem Szklarska Poręba i Kołem Łowieckim „Łowiec” – rozpoczęło realizowany corocznie, po weekendzie majowym, projekt – „Sprzątanie Lasów, Zadrzewień i Terenów Zielonych”.

Do organizacji wydarzenia, począwszy od 2021 roku, przyłączyły się Koła Łowieckie „Jeleń” i „Głuszc” z Jeleniej Góry, których obwody również w części wchodzą w obszar Gminy Szklarska Poręba, a także Zarząd Okręgowy PZŁ w Jeleniej Górze. W 2025 roku w wydarzeniu uczestniczyło ponad 120 osób, które zebrały ponad 3 tony odpadów. Na zakończenie myśliwi i leśnicy przygotowali stoiska z bogatą ofertą edukacyjną, w tym gry i zabawy dla najmłodszych, a także, jak co roku, poczęstunek z dziczyzny i wędzonych ryb, sponsorowany przez Kolegę Krzysztofa Raftowicza.

W 2023 roku, w ramach współorganizacji 100-lecia Polskiego Związku Łowieckiego, koło zakupiło namiot edukacyjny, a myśliwi przygotowali stałą prezentację, dotyczącą cietrzewia oraz przenośny stojak do ekspozycji trofeów łowieckich. We wrześniu tego roku nasze koło, wspólnie z kołami Powiatu Karkonoskiego, współorganizowało 100-lecie PZŁ w okręgu jeleniogórskim. Impreza odbyła się w Parku Zdrojowym w Cieplicach, przy pięknej pogodzie i tłumie odwiedzających. Największym zainteresowaniem cieszył się oczywiście bigos z dziczyzny, serwowany z tradycyjnej kuchni polowej, aczkolwiek stoiska edukacyjne także były oblegane. Myśliwi prowadzili wiele ciekawych pogadanek, tłumacząc na czym polega nasza pasja i praca na rzecz środowiska naturalnego.

Dla zwiększenia efektywności działań promocyjno-edukacyjnych, uchwałą Walnego Zgromadzenia Członków Koła Łowieckiego „Łowiec” we Wrocławiu,

w 2024 roku powołaliśmy w kole Komisję Promocji, pod przewodnictwem doświadczonego leśnika, pracownika Nadleśnictwa Szklarska Poręba, Kolegi Adama Kornalewicza. Efekty pracy komisji były widoczne już w pierwszym roku jej działania. W 2024 roku, dzięki zaangażowaniu Kolegi Andrzeja Szczudło, podjęto współpracę z Sołectwem w Trześni, w ramach której gościmy na dożynkach sołeckich, prowadząc edukację przyrodniczo-łowiecką dla dzieci i dorosłych. Podczas tego wydarzenia serwujemy dziczyznę oraz tradycyjny już chleb ze smalcem z dziczyzny i domowym kiszonym ogórkiem.

Również w obwodzie położonym w Gminie Żmigród członkowie naszego koła biorą udział w gminnych dożynkach, a także Dniach Karpia i Lasu, promując dziczyznę i prowadząc edukację przyrodniczo-łowiecką. Podczas wspomnianych działań nigdy nie spotkaliśmy się z negatywnym nastawieniem do łowiectwa ludzi, którzy nas odwiedzali – przeważnie mieszkańców okolicznych terenów, którym nie obca jest zrównoważona gospodarka leśna, łowiecka i rolna. Tradycyjnie dużym zainteresowaniem cieszy się nasza ekspozycja trofeów łowieckich. Odwiedzający chętnie dyskutują, a przede wszystkim z olbrzymim zainteresowaniem słuchają naszych edukatorów, którzy dzięki fachowości, erudycji i komunikatywności przybliżają im wiedzę o prowadzeniu gospodarki łowieckiej.

W ramach współpracy z Miastem Szklarska Poręba i Nadleśnictwem Szklarska Poręba, w 2025 roku, nasze koło wzięło czynny udział w akcji sadzenia drzew dla miasta. Zwieńczeniem akcji był przygotowany przez nas poczęstunek z dziczyzny.

Działania koła dokumentowane są w lokalnych mediach, a także często w prasie łowieckiej, czego przykładem są artykuły w „Zachodnim Poradniku Łowieckim”. Nasza działalność znajduje również odbicie w mediach społecznościowych. Najbardziej zaangażowanymi w działalność promocyjno-edukacyjną koła są Koledzy: prezes koła Kolega Sławomir Jaworski, łowczy koła Artur Maćkowiak, Adam Kornalewicz, wicełowczy koła Andrzej Szczudło i Szymon Dyrzc.

Osobnym zagadnieniem jest współpraca z młodzieżą szkolną. Jednym z jej celów jest cicha, ponieważ pośrednia, walka z coraz rzadszymi przypadkami kłusownictwa w naszych obwodach. Aktywnie braliśmy udział w znanej akcji Zarządu Głównego PZŁ i miesięcznika „Łowiec Polski” – „Ożywić Pola. Rok Sarny”. Dzieci pomagają nam w zbiorce kasztanów i żołądzi. Wspólnie z młodzieżą prowadzimy akcje nasadzeń drzew owocowych, celem wzbogacenia bazy żerowej zwierzęcy. Wspólnie wypłacamy kosze wiklinowe i umieszczamy je w środowisku wodnym jako miejsca gniazdowania dla ptactwa wodnego.



Uczestnicy obchodów 50-lecia założenia koła przed kościołem parafialnym pw. Trójcy Świętej w Żmigrodzie



Zarząd koła, od prawej: Artur Maćkowiak (łowczy), Andrzej Szczudło (wicełowczy), Sławomir Jaworski (prezes), Grzegorz Jędrzejewski (sekretarz), Stanisław Chorążyczewski (skarbnik)

Tego rodzaju akcje zawsze kończymy pogadankami o przyrodzie, potrzebie jej ochrony, wyjaśniając rolę myśliwego w środowisku naturalnym. Mówimy o problemie wnykarstwa. Zawsze towarzyszy temu ognisko i stosowny poczęstunek.

Ze swojej strony pomagamy szkołom w zakupie niezbędnych do dydaktyki materiałów edukacyjnych. Towarzyszymy dzieciom w oficjalnych uroczystościach i imprezach szkolnych. Dofinansowaliśmy szkolne wigilie, zakupy internetu bezprzewodowego etc. Wspomagaliśmy zakupy karmy dla zwierząt przebywających w schroniskach. Najbliższe kontakty mamy ze szkołami podstawowymi w Miejskiej Górcie, Zespołem szkół w Żmigrodzie i Technikum Leśnym w Miliczu oraz z Zespołem Szkół Podstawowych nr 20 we Wrocławiu. Osobą bardzo pomagającą nam w działalności edukacyjnej jest Kolega Tomasz Perdek. Działalność ta znajduje uznanie nie tylko wśród lokalnych społeczności. Wyrazem uznania jest odznaczenie koła w 2014 roku Srebrnym Medalem Zasługi Łowieckiej.

– *Dla każdego myśliwego łowiectwo jest czymś innym. Jest jego własnym polem, na którym znajduje różne wartości, co w niejednym z nich wyzwała aktywności o cechach twórczych. Zjawisko to zdaje się nie być obcym również myśliwym „łowca”?*

– Owszem, również w szeregach naszego koła znalazły się osoby, o których wspominasz w pytaniu. To myśliwi zauroczeni zarówno walorami przyrodni-

czymi i estetycznymi naszych obwodów, ich przyrody, jak i tradycją historyczną. Jedną z takich postaci jest Kolega Tomasz Jukiewicz, lwowianin, leśnik, który całe życie związał z Izerami i Karkonoszami. Człowiek twardy, bo tak go ukształtowały powojenne i późniejsze czasy, a szlachetny z duszą poety, którą odkrył w swoich wierszach, poświęconych tutejszej przyrodzie. O jego sentymentach mówi choćby publikacja „Pracą i Poezją przez Izerski Las”. Kolejną taką osobą jest pochodzący z lubelszczyzny Kolega Jerzy Tański. Jurek wypowiada się poetyckim piórem i malarskim pędzlem. Należy do Grupy Artystycznej Pi-
-Art z Piechowic oraz do Stowarzyszenia Literackiego w Cieniu Lipy Czarnońskiej. Polecamy postronnym takie pozycje literackie, jak „Karkonoskie przemyslenia” czy „Piórem i pędzlem po Karkonoszach”. Od wielu dekad medium fotograficzne i filmowe jest domeną Kolegi Adama Potasza, który zdecydowanie częściej naciska spust kamery niż broni, kreśląc tajniki naszej przyrody. Często przyrody odchodzącej za sprawą ludzkiej ekspansji do lamusa historii.

Twórczości Artystów z naszego koła pokazują piękno i tajemniczość przyrody, jak i nakłaniają do jej mądrej ochrony. Ich działania są tematem wielu rozmów i dyskusji pomiędzy nie tylko myśliwymi. Jest to zarówno ich osobisty, ale i nasz myśliwski głos w kwestii ochrony środowiska naturalnego.

– *Dziękuję za rozmowę.*



Z przewodniczącą sejmowej Komisji Ochrony Środowiska,
Zasobów Naturalnych i Leśnictwa, Urszulą Pasłowską, rozmawia Jacek Seniów.

– *Jak łowiectwo trafiło do Pani życia i stało się jego nieodłączną częścią?*

– W zasadzie było w nim od zawsze. Urodziłam się i dorastałam na Warmii i Mazurach, w krainie lasów i jezior, gdzie ludzie od pokoleń żyli w bliskiej symbiozie z naturą. Przekonanie, że człowiek ma obowiązek w sposób zrównoważony zarządzać zasobami przyrody, towarzyszyło mi od dzieciństwa. Kiedy w 2012 roku zostałam myśliwym, od razu wiedziałam, że jestem wśród przyjaciół. To nie była nowa droga, ale naturalna kontynuacja.

– *Rola, jaką pełni Pani obecnie w przestrzeni publicznej, wydaje się kluczowa dla przyszłości polskiego łowiectwa. Jak Pani ją definiuje?*

– Moja rola to przede wszystkim stanie na straży racjonalizmu. Zrównoważone łowiectwo to fundament systemu ochrony przyrody, ale także narzędzie kontroli szkód w rolnictwie i gospodarce leśnej. Dziś myśliwi to również istotny element strategii obronnej kraju.

Na polowanie nie można patrzeć przez pryzmat ideologii. Należy odrzucić utopijne koncepcje, jak próba utworzenia z całej Polski jednego wielkiego rezerwatu. Prawdziwa ochrona przyrody to nie tylko bierność przyglądanie się naturze, ale przede wszystkim odpowiedzialne działanie, które stanowi fundament zrównoważonego łowiectwa.

– *W Parlamencie uchodzi Pani za główną orędowniczkę spraw łowieckich. Czy w dobie silnej presji organizacji antyłowieckich czuje Pani ciężar tej odpowiedzialności?*

– Zawsze staram się oceniać sytuację z chłodną głową, bo świat rzadko bywa czarno-biały. Walczę o przywrócenie samorządności w PZŁ i naprawienie błędów, jakie zostały popełnione w 2018 roku.

Nie ukrywam – klimat polityczny nie sprzyja myśliwym – a nowelizowanie ustawy Prawo łowieckie zawsze jest wykorzystywane do wprowadzania kolejnych zakazów. Jako przewodnicząca Komisji Ochrony Środowiska jestem otwarta na dialog, ale od organizacji pozarządowych oczekuję faktów, a nie rozbudzania emocji. Jeśli ktoś proponuje wprowadzanie kolejnych ograniczeń dla myśliwych, to musi udowodnić ich pozytywny wpływ dla funkcjonowania łowiectwa, bezpieczeństwa czy ochrony przyrody, a to sprawia największe problemy.

Ustawa przywracająca normalność w Polskim Związku Łowieckim jest procedowana! Niestety, zbu-

dowanie dzisiaj ponadpartyjnej koalicji to syzyfowa praca. Zapewniam jednak, że będę w tej kwestii wyjątkowo wytrwała!

– *Żyje Pani w wirze wielkiej polityki i nieustannych obowiązków. Czy w tym napiętym grafiku znajduje Pani jeszcze czas na spotkania z knieją?*

– Absolutnie tak! Lasy Warmii i Mazur to dla mnie jedyne miejsce, gdzie mogę w pełni zebrać myśli i odpocząć. Nawet jeśli obowiązki nie pozwalają mi na wyjście z bronią, każdą wolną chwilę wykorzystuję na spacer po puszczy. Kontakt z naturą pozwala zachować niezbędny dystans do polityki.

– *Czym dla Pani – osobiście – jest łowiectwo? To tylko obowiązek czy coś znacznie głębszego?*

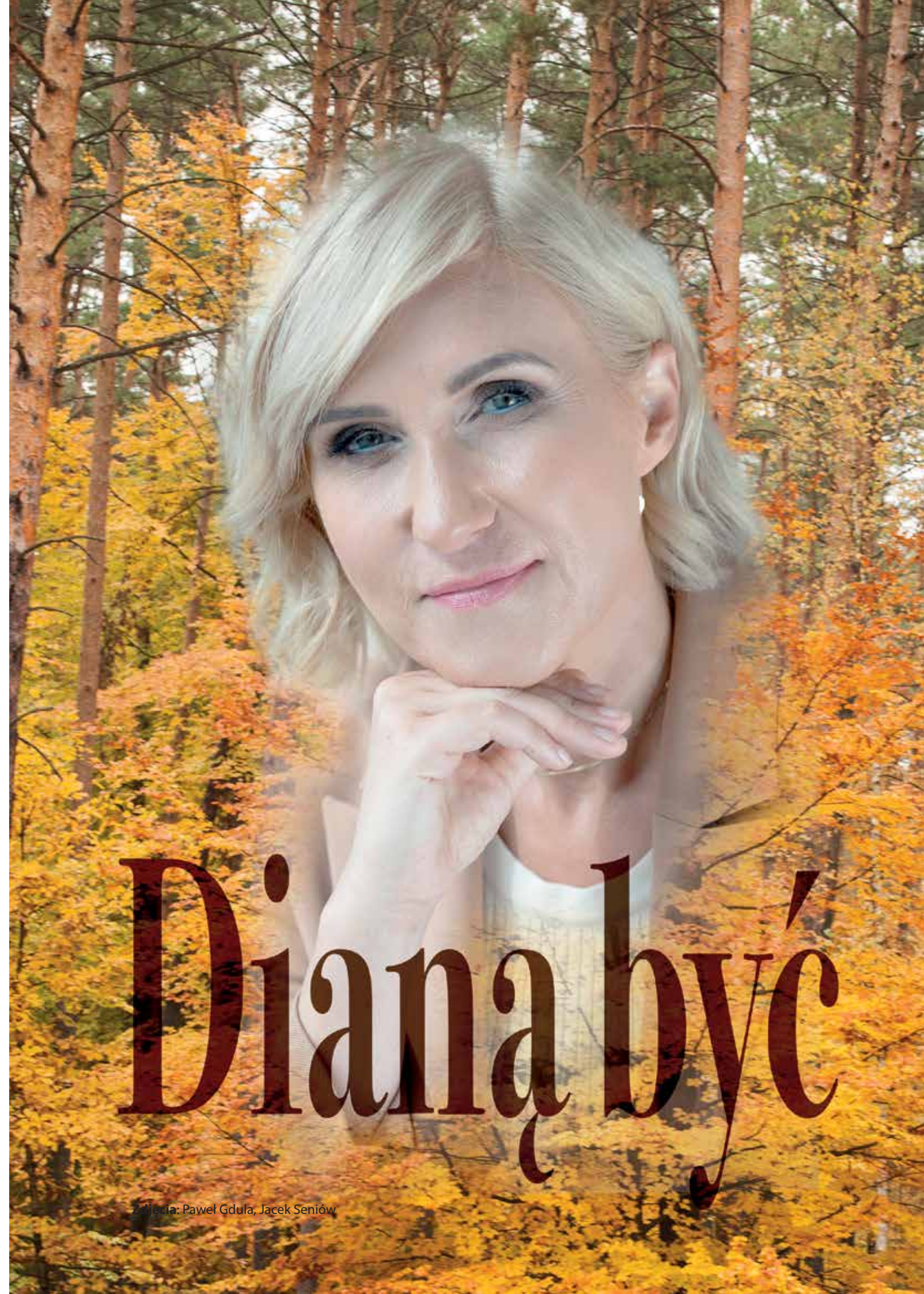
– To styl życia, pasja oraz kultura przekazywana z pokolenia na pokolenie. To przestrzeń, w której spotykam ludzi o podobnej wrażliwości i twardym systemie wartości. Od 2012 roku aktywnie wspieram polujące kobiety. Założyłam Klub Dian, bo wierzę, że kobiety do łowiectwa wnoszą nową jakość. Dziś poluje już blisko sześć tysięcy pań, co stanowi ogromny wzrost w porównaniu z minioną dekadą. To dowód, że Polki chcą żyć blisko natury i rozumieją jej twarde, niezmiennie prawa.

– *Jak widzi Pani przyszłość łowiectwa w Polsce w perspektywie najbliższych lat?*

– Świat pędzi naprzód, a łowiectwo musi ewoluować, nie tracąc swojej tożsamości. Wierzę, że poparcie społeczne dla myślistwa będzie rosnąć, jeśli odważnie wyjdziemy do społeczeństwa. Sprzyja nam moda na zdrową żywność, ruchy survivalowe i rosnące zainteresowanie obronnością. Musimy z dumą pokazywać, kim jesteśmy i tłumaczyć naszą rolę w systemie ochrony przyrody. To trudne zadanie bez wsparcia politycznego, dlatego tym bardziej dziękuję wicepremierowi Władysławowi Kosiniakowi-Kamyszowi za to, że jako minister obrony narodowej dostrzega i wspiera Polski Związek Łowiecki.

Czas myśliwych chowających się w cieniu minął. Nowe pokolenie, w tym tysiące zaangażowanych kobiet, to dowód na to, że łowiectwo nie jest reliktem przeszłości, ale żywym i niezbędnym ogniwem nowoczesnej ochrony przyrody. Musimy pamiętać, że polowanie to nie tylko pasja czy hobby, ale przede wszystkim realne bezpieczeństwo żywnościowe Polaków oraz istotny filar obronności naszego kraju.

– *Dziękuję za rozmowę.*



Fotografia: Paweł Gdula, Jacek Seniów

– Czym jest „Przystań Myśliwego”?

– Projekt Przystań Myśliwego to wielowymiarowa inicjatywa kulturalno-edukacyjna, która łączy słowo, dźwięk i obraz, tworząc spójną przestrzeń poświęconą przyrodzie, tradycji łowieckiej i dziedzictwu kulturowemu. Na stronie Naczelnej Rady Łowieckiej została utworzona zakładka z zasobami dostępnymi za darmo (<https://nrl.org.pl/przystań-myśliwego/>). W ich skład wchodzi:

• Muzealna Przystań Myśliwego.

Platforma wirtualnych wycieczek po rozproszonych zbiorach o tematyce łowieckiej i przyrodniczej, znajdujących się w różnych częściach Polski. Umożliwia poznawanie eksponatów, historii i tradycji w nowoczesnej, dostępnej formie online.

Docelowo planowana jest także Wideo-Przystań Myśliwego.



Z prof. Aleksandrą Matulewską rozmawia Jacek Seniów

• E-Przystań Myśliwego.

Cyfrowa biblioteka e-booków w formatach PDF, EPUB i MOBI, obejmująca literaturę piękną oraz teksty popularnonaukowe. Zbiór koncentruje się na tematyce przyrodniczej, łowieckiej i kulturowej, łącząc refleksję z pasją poznawania świata.

• AudioPrzystań Myśliwego.

Biblioteka audiobooków, umożliwiająca odbiór literatury w formie dźwiękowej. To propozycja dla osób, które chcą obcować z opowieścią w ruchu, w naturze lub podczas codziennych aktywności.

• Muzyczna Przystań Myśliwego.

Zbiór nut w formacie PDF oraz nagrań muzycznych w formacie MP3, poświęconych tradycyjnej muzyce myśliwskiej i utworom inspirowanym przyrodą. Przystań ta służy zachowaniu i popularyzacji muzycznego dziedzictwa łowieckiego.

Razem wszystkie części tworzą kompleksowy projekt, którego celem jest ochrona, popularyzacja i nowoczesne udostępnianie dziedzictwa przyrodniczego oraz kulturowego związanego z łowiectwem.

– Czy Przystań jest już dostępna?

– Projekt „Przystań Myśliwego” jest w trakcie realizacji.

Na obecnym etapie, pod udostępnionym linkiem, dostępne są zasoby Muzealnej Przystani Myśliwego – wirtualne materiały prezentujące rozproszone zbiory o tematyce łowieckiej i przyrodniczej.

Planowane jest uruchomienie kolejnych elementów projektu, w tym:

• Biblioteki e-booków.

• Kilku pierwszych audiobooków.

Jest to etap początkowy realizacji całej inicjatywy. „Przystań Myśliwego” będzie rozwijać się sukcesywnie.



nie, wraz z powstawaniem nowych materiałów i rozbudową zasobów.

Kultura od zawsze boryka się z ograniczonymi środkami finansowymi, dlatego projekt bazuje w dużej mierze na zaangażowaniu ludzi dobrej woli. Poszukujemy wolontariuszy, którzy chcieliby współtworzyć Przystań, w szczególności osób:

- Znających się na obróbce tekstu i OCR.
- Potrafiących tworzyć pliki EPUB i MOBI.
- Wykonujących korekty tekstów po OCR.
- Umiejących przygotować wirtualne wycieczki muzealne ze zdjęć.
- Znających się na obróbce plików dźwiękowych.
- Chętnych do odwiedzenia lokalnych muzeów i sporządzenia spisu zbiorów (np. obrazów, rzeźb o tematyce łowieckiej), a jeśli ktoś może, wykonania fotografii eksponatów do wirtualnych wycieczek muzealnych.

• Osób z dobrą dykcją, które chciałyby nagrać audiobooki.

• Fotografów przyrody, gotowych nieodpłatnie udostępnić swoje zdjęcia.

• Autorów książek o tematyce łowieckiej, którzy zechcieliby udostępnić swoje publikacje w formie cyfrowej do biblioteki e-booków.

To, jak zasobna i bogata będzie „Przystań Myśliwego”, i jak szybko będzie „rosła”, zależy bezpośrednio od tego, ile osób zdecyduje się włączyć w tę inicjatywę.

Jest to Projekt tworzony wspólnie – dla zachowania, pielęgnowania i przekazywania dziedzictwa łowiectwa kolejnym pokoleniom.

– Jak można włączyć się do Projektu?

– Wystarczy napisać do mnie e-mail z krótką informacją o sobie, na adres: aleksandra.matulewska@gmail.com.

– Co było inspiracją do powstania „Przystani Myśliwego”?

– Pomysł wykiełkował w mojej głowie wiele lat temu. Inspiracją do powstania „Przystani Myśliwego” były moje poszukiwania literatury o kulturze łowieckiej oraz jej niezrozumienie wśród społeczeństwa, skutkujące atakami na dziedzictwo tej kultury, uosabiane z chorą twórczością psychopatów. Zakaz udziału dzieci w polowaniach także się do tego przyczynił. Moim marzeniem było stworzenie otwartej, ogólnodostępnej przestrzeni, w której można zatrzymać się, posłuchać, poczytać i zobaczyć, pogłębiając więc z przyrodą, tradycją łowiecką i kulturą. Długo brakowało jednego, wspólnego miejsca, w którym elementy dziedzictwa łowiectwa byłyby zgromadzone i bezpłatnie dostępne dla myśliwych, ich rodzin, sympatyków łowiectwa oraz osób pragnących poznać kulturę łowiecką. Teraz jest szansa, że takie miejsce powstanie.

– Czy widziałaby Pani „Przystań Myśliwego” jako pewną „formę-matkę” dla innych takich i inicjatyw?

– Tak. „Przystań Myśliwego” jest postrzegana jako swoista „forma-matka” dla innych inicjatyw kulturalnych i edukacyjnych. Jej idea od początku zakładała nie tylko gromadzenie zasobów w przestrzeni cyfrowej, ale także tworzenie żywej platformy spotkań, dialogu i współpracy wokół kultury łowieckiej.

Dobrym przykładem realizacji tej idei są działania Komisji Kultury przy Zarządzie Okręgowym Polskiego Związku Łowieckiego w Poznaniu, która w ramach Przystani organizuje regularne, co najmniej comiesięczne spotkania, poświęcone kulturze łowieckiej. Obejmują one:

- Prelekcje i wykłady tematyczne.
- Dyskusyjny klub filmowy.
- Koncerty i wydarzenia muzyczne.

Spotkania te mają charakter otwarty i integrujący – są skierowane nie tylko do myśliwych, lecz także do ich rodzin, miłośników łowiectwa oraz wszystkich osób zainteresowanych poznawaniem kultury, tradycji i etosu łowieckiego.

W tym sensie „Przystań Myśliwego” pełni rolę platformy wspierającej i inspirującej kolejne inicjatywy – lokalne i ogólnopolskie – które mogą rozwijać się pod wspólnym szyldem ideowym, zachowując własną specyfikę. To przestrzeń, w której kultura łowiecka żyje, rozwija się i jest przekazywana dalej, w sposób nowoczesny, otwarty i dostępny.

Takie spotkania zapoczątkowała także Komisja Kultury Łowieckiej NRŁ. W ramach „Przystani Myśliwego”, dzięki zaangażowaniu Zarządu Okręgowego Polskiego Związku Łowieckiego w Warszawie, w 2025 roku zostało zorganizowane pierwsze „Spotkanie z kulturą łowiecką”. W 2026 roku planowane są kolejne takie spotkania w innych okręgach.

– Kto do niej zawija, a kto z niej wypływa?

– Do „Przystani Myśliwego” zawijają bardzo różne osoby, połączone wspólną potrzebą kontaktu z przyrodą, tradycją i kulturą łowiecką. To miejsce otwarte – zarówno dla tych, którzy dopiero zaczynają swoją drogę, jak i dla tych, którzy mają ją już w dużej mierze za sobą.

Zawijają tu przede wszystkim:

• Stażyści i młodzi myśliwi, dla których „Przystań” jest źródłem wiedzy, inspiracji i formowania wrażliwości – uczy historii, etyki i kultury łowieckiej, których nie da się poznać wyłącznie w łowisku.

• Miłośnicy kultury i przyrody, także niezwiązani bezpośrednio z łowiectwem, szukający rzetelnej wiedzy, literatury i muzyki zakorzenionej w tradycji.

• Osoby starsze, chore lub z ograniczoną mobilnością, które nie mogą już uczestniczyć w polowaniach, a mimo to czują silną potrzebę pozostania w kontakcie ze spuścizną łowiectwa – słowem, dźwiękiem, obrazem i wspomnieniem.

Dla tej ostatniej grupy „Przystań Myśliwego” ma wartość szczególną. Umożliwia powrót do świata, który był ważną częścią ich życia – bez wysiłku fizycznego, bez barier, w domowym zaciszu. Audiobooki, muzyka myśliwska, teksty i wirtualne zbiory muzealne stają się pomostem między przeszłością a teraźniejszością, dając poczucie ciągłości i przynależności.

Z Przystani wypływają natomiast ludzie bogatsi o wiedzę, refleksję i emocje – młodszy z nowym rozumieniem tradycji, starsi z poczuciem, że ich doświadczenie i dziedzictwo nie zostały zapomniane. To nie jest miejsce, z którego się odchodzi – to port, do którego się wraca, bo pozwala trwać w kulturze łowieckiej niezależnie od wieku, zdrowia czy życiowego etapu.

– Dziękuję za rozmowę.

Zdjęcia: Ryszard Adamus, archiwum Aleksandry Matulewskiej



Aleksandra Matulewska – prof. UAM, językoznawczyni i badaczka komunikacji specjalistycznej na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Zajmuje się m.in. językiem specjalistycznym, przekładem oraz analizą dyskursu. W swoich pracach podejmuje także tematykę kultury łowieckiej, zwłaszcza w perspektywie języka, terminologii i dziedzictwa kulturowego; jest autorką i współredaktorką publikacji naukowych poświęconych temu obszarowi. Drugą kadencję pełni funkcję członka Komisji Kultury Łowieckiej Naczelnej Rady Łowieckiej, gdzie angażuje się w działania na rzecz ochrony i popularyzacji kulturowych aspektów łowiectwa.



Spotykam się z Ryszardem Adamusem, którego pasją stał się świat przyrody, a dokładnie, podglądanie jego tajemnic i notowanie ich w fotografii.

– *Twoje zdjęcia spotykamy w wielu czasopismach związanych z łowiectwem, chociaż nie jesteś myśliwym oraz – z tego, co wiem – nie zamierzasz nim być. Podobnie jest z artykułami analizującymi zjawiska, z którymi się spotykasz. Dotyczą one nie tylko świata zwierząt, ale i świata myśliwych, widzianego oczami osoby z zewnątrz. Dostrzegasz nielogiczności i nieprawidłowości w naszym myśliwskim postępowaniu, jak i też pokazujesz bezsens logiczny stawianych nam zarzutów, co czyni je bezpodstawnymi lub tendencyjnymi z powodów osobistych ich Autorów. Jak choćby słynna dysputa prasowa z „zatorskimi” ornitologami, którzy nie umiejąc się rzeczowo odnieść do zarzutu fałszywości głoszonych tez, po prostu „wzięli zabawki i poszli na swoje podwórko”. Skąd Twoja fascynacja światem przyrody?*

– Tak się po prostu dzieje i może na tym właśnie polega mądrość natury, że różnimy się między sobą. Dzięki temu nasz gatunek lepiej sobie radził w przeszłości, bo przecież przez tysiąclecia czyhały na naszych przodków przeróżne zagrożenia, ale zawsze byli tacy, którzy przetrwali, a dzieląc się swoją indywidualną wiedzą i doświadczeniem, pomagali przeżyć innym.

Od zawsze fascynował mnie świat przyrody, chociaż nikt w rodzinie nie podzielał moich zainteresowań. Wybrałem inną ścieżkę zawodową – poszedłem drogą techniki. Urodziłem się w mieście, stąd miałem ograniczony kontakt z naturą, ale prze-

cież i tu coś się działo. Żałuję, że w czasach mojego dzieciństwa, gdy umysł chłonał wiedzę jak gąbka, literatura przyrodnicza była tak uboga. Zazdroszczę nawet dzisiejszym dzieciakom łatwego dostępu do wiedzy w postaci świetnych książek, ale i tego, z czego najczęściej korzystają – internetu. W tamtych czasach rarytasem był na przykład atlas „Ssaki Polski”, autorstwa Włodzimierza Serafińskiego, ze świetnymi rysunkami Janusza Towpika. Przez wiele lat zagadką pozostawało dla mnie to, jak rozróżnić dwie kuny, ponieważ opis w książce nie wskazywał prawdziwych różnic. Dziś taki problem rozwiązuje się w minutę. Atlasu „Ptaki Polski” nie zdobyłem, bo nakład szybko się wyczerpał, a innych podobnych wydawnictw długo potem nie było... Minęło kilka dekad i obecnie zapoznanie się ze wszystkimi publikacjami o tematyce przyrodniczej okazuje się niemożliwe. Na rynku wydawniczym jest ich tak dużo!

W tym miejscu warto zwrócić uwagę na to, że wiedza przyrodnicza to już nie tylko kolor sierści, waga, liczebność miotów, ale także zawile zależności, które są tak ciekawe jak najlepszy kryminał. Okazuje się przykładowo, że nasi mniejsi bracia dokonują w swych mózgach precyzyjnych obliczeń ekonomicznych, jak choćby szpak zbierający dżdżownice dla młodych. Musi zdecydować, czy mając w dziobie dwie ofiary ma już lecieć do gniazda, czy szukać trze-

ciej i czwartej. Obliczenia specjalistów, analizujących zachowanie tych ptaków, wykazują, że – uwzględniając wielkość ofiar, a także coraz trudniejsze magazynowanie ich w dziobie oraz odległość od gniazda – podejmują one najbardziej ekonomiczne decyzje. Jak się tym nie interesować?

– *A fotografią, przypadek czy świadomy wybór narzędzia?*

– Dość późno zacząłem aktywniej poznawać przyrodę. Życie mieszcza, obowiązki rodzinne i zawodowe sprawiły, że pozostawałem na etapie filmów, książek przyrodniczych i rzadkich, jak na moje obecne zwyczaje, wypraw w teren. Ale życie jest krótkie, czas goni, trzeba było pomyśleć o sobie... Po którejś wycieczce opowiadałem o swoich przeżyciach koledze, z którym prowadzimy czasem – mniej lub bardziej – filozoficzne dyskusje. Wysłuchawszy mnie uznał, że z mojej strony samolubstwem jest zostawianie takich wrażeń tylko dla siebie. Poradził mi kupić aparat. Posłuchałem...

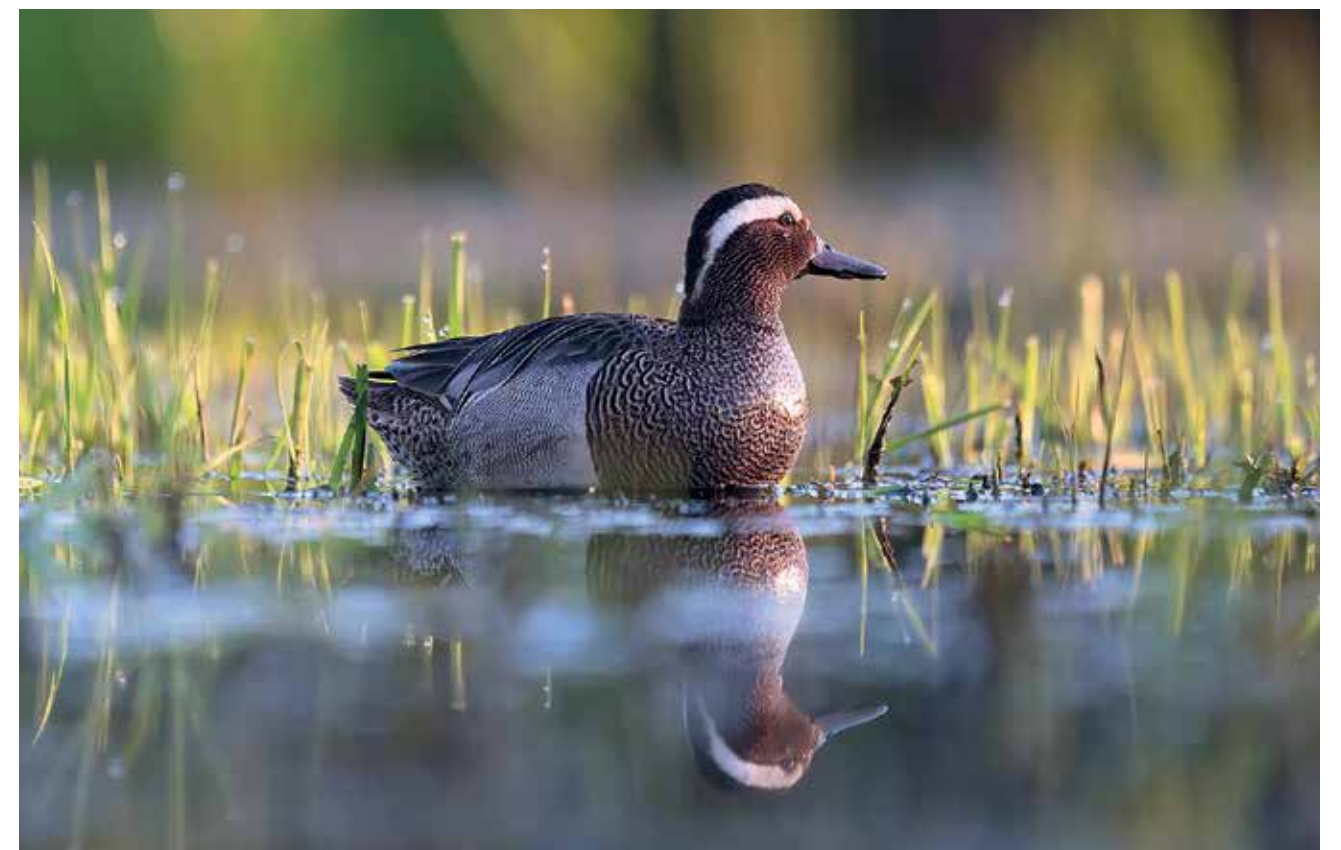
Tę samą radę przekazuję dziś myśliwym. – Spotykam Was często w łowisku i każdy z Was ma na swoim koncie jakieś niezwykle przeżycia, ale, niestety, możecie o nich tylko opowiedzieć, a nie wszystko przecież można przekazać słowami. Sytuację poprawiają coraz lepsze aparaty w smartfonach lub możliwość nagrywania filmów przez optykę myśliwską. Może jednak warto mieć także aparat z teleobiektywem, zwłaszcza w trakcie zasiadki?

– *Z wielkim zainteresowaniem od lat czytam Twoje artykuły, w których oprócz głębi spostrzegawczości, narzędziem jest logika i – w mojej opinii – matematyczna analiza zjawiska. Pisanie źle o myśliwych stało się tak powszechnie modne, że zaczyna zakrawać na brak pomysłu na wzmocnienie własnego ego. Z drugiej strony*

jest całkiem bezwartościowe. Czy dużo odwagi wymaga pokazanie łowieckim oponentom fałszywości tez i wniosków dotyczących myśliwych?

– Jak łatwo można manipulować ludźmi, pokazuje historia z zatorskich stawów. Może warto ją przeanalizować. Otóż renomowany w ornitologicznym świecie kwartalnik „Ornis Polonica”, opublikował w 2015 roku, w numerze 56, tekst autorstwa Cezarego Mitruśa i Adama Zbyryty, pod dużo mówiącym tytułem: „Wpływ polowań na ptaki i sposoby zapobiegania ich negatywnego oddziaływania”. Jeden z fragmentów tej pracy trafił na sztandary przeciwników polowań: „W Polsce nawet ponad 30% zabijanych w czasie polowań ptaków stanowią gatunki ściśle chronione”. Poparciem tego twierdzenia miały być – zdaniem Autorów artykułu – wyniki badań naukowych. Cytowane zdanie stawia w wyjątkowo negatywnym świetle myśliwych. Przecież strzelanie do gatunków chronionych, jeszcze w takich proporcjach, oznacza, że każdy z polujących na ptactwo jest przestępcą, bo jeśli ustrzeli trzy ptaki, to jeden spośród nich musi być chroniony. Niestety, Polacy w to uwierzyli. Ten tekst znajdujemy nie tylko na stronach organizacji ochrony przyrody, ale także we wszystkich mediach, nawet w TV. Myśliwi wiedzą, jaka jest prawda, jednak nie potrafią się skutecznie bronić. Nikt ich zresztą nie słucha. I ta nagonka nadal trwa.

Dopiero w 2019 roku, po przypadkowym internetowym spotkaniu z Adamem Zbyrytem (red.: pracownik Wydziału Biologii Uniwersytetu w Białymstoku. Na co dzień zajmuje się ochroną i badaniem ptaków), postanowiłem przeczytać ten tekst. I tu niespodzianka. Okazało się, że cytowane w artykule badania naukowe przeprowadzili inni naukowcy, mianowicie Damian Wiehle i śp. Zbigniew Bonczar. Ten



drugi, znany sokolnik, zaangażowany był w reintrodukcję (red.: kluczowa metoda ochrony czynnej służąca odbudowie populacji zagrożonych gatunków) sokoła wędrownego. Autorzy badań zbierali przez siedem lat martwe ptaki w obszarze stawów rybnych w okolicach Zatora i rzeczywiście podali takie proporcje ptaków łownych i chronionych, jak w cytowanym wyżej zdaniu. Jednak to trochę tak, jakbyśmy chodzili po parku, a tam znaleźli na trawie rękawiczkę, liczne opakowania po przekąskach oraz napojach, jedną monetę i na tej podstawie wyciągali wnioski, co ludzie przynoszą ze sobą do tego parku. Przecież każdy z nas ma obuwie, bieliznę, ubranie wierzchnie, teczki i torebki, a tylko niektórzy konsumują coś i pozbywają się nieelegantcko niechcianych elementów. Nie można proporcji tego, co znaleźliśmy w parku, przenieść procentowo na „majątek” żywych ludzi.

Podobną sytuację zaobserwowano na stawach, gdzie w wodzie zostawały ptaki niechciane. To tłumaczy, dlaczego znaleziono mniej krzyżówek niż łabędzi niemych. Taką logiczną pomyłkę Zbyryt i Mitrus mogli popełnić nieświadomie, bowiem nie każdy ma tzw. umysł ścisły. Jednocześnie przemilczeli jednak ważne przemyślenia Wiehle i Bonczara, niepasujące do stawianej tezy. Naukowcy częściową winę za ptasie ofiary przypisują pracownikom gospodarstw rybackich. Gospodarstwo rybackie dostaje bowiem pozwolenie na eliminację wybranych gatunków

w określonym limicie. Niestety, może dochodzić do pomyłek lub świadomej eliminacji chronionych „szkodników rybackich”.

Tymczasem Zbyryt i Mitrus obciążyli myśliwych działalnością pracowników gospodarstw rybackich i założyli, że w innych akwenach, gdzie ryb się nie hoduje, też giną mewy i bąki. W grudniu 2019 roku wysłałem do redaktora naczelnego „Ornis Polonica” swoją replikę. Z powodu braku odzewu, wysłałem ją także do czterech członków redakcji, w tym do Cezarego Mitrusa. Ponieważ redakcja milczała, nie czekałem zatem dłużej... Moje ad vocem ukazało się po 9 miesiącach w numerze 8/2020 „Braci Łowieckiej”. W końcówce tekstu podałem artykuły z kodeksu karnego, z jakiego Polski Związek Łowiecki może zaskarżyć kwartalnik z powodu głoszenia nieprawdziwych i krzywdzących tez. Dopiero wtedy redakcja „Ornis Polonica” nawiązała ze mną kontakt i mój tekst ukazał się w numerze 61/2020 tego czasopisma. Jednocześnie Adam Zbyryt i Cezary Mitrus, wspinając się na wyżyny erytyki, odpowiedzieli na moje ad vocem. Niestety, znalazłem tu ponowne manipulacje, dlatego napisałem kolejny tekst, który zdemaskował to naginanie faktów. Tym razem redaktor naczelny „Ornis Polonica” szybko się do niego odniósł, informując mnie o tym, że czasopismo nie jest zainteresowane kontynuacją tego wątku. Tekst został opublikowany w „Braci Łowieckiej” w numerze 7/2021.

Ta historia pokazuje, w jaki sposób można wpływać na opinię publiczną. Obserwacje naukowe nie zawsze są, niestety, w pełni obiektywne. Zależą przede wszystkim od ram teoretycznych, ale też subiektywnych uprzedzeń, które kształtują sposób postrzegania i interpretowania danych. W mojej ocenie, redakcja naukowego kwartalnika godziła się na manipulację, których ofiarami byli Czytelnicy. Ta historia ukazała też jakąś niewytłumaczalną blokadę, m.in. u myśliwych, bo 130 tysięcy ludzi zainteresowanych przecież zakończeniem tej sprawy, nie potrafiło odkryć prawdy poprzez uważne przeczytanie dwóch tekstów. Musimy sobie zdawać sprawę, że hasło to kształtowało poglądy Polaków przez kilka lat. Wiele neutralnych osób stało się przeciwnikami łowiectwa i już się tego nie zmieni. To tak, jak lubimy utwory muzyczne z naszej młodości. One pojawiły się w odpowiednim czasie, zostawiły ślad w naszym mózgu i nowinki tak łatwo ich nie wypchną. Prywatnie mam gorzką satysfakcję, bo odkryłem te manipulacje i doprowadziłem do zniknięcia z przestrzeni publicznej tego fałszywego hasła z 30%, ale zwiększyło to moją nieufność do informacji, jakie do mnie zewsząd docierają.

– Powróć do zdjęć, ale pozostając przy artykułach. Czasami, jak w nich o czymś czytam, oglądając oczywiście Twoje zdjęcia, dokumentujące to coś, zastanawiam się, co w tym momencie bardziej Cię wciąga, plastyka zdjęć czy analiza zaobserwowanego zdarzenia?

– Gdy zaczynałem fotograficzne życie, najczęściej wędrowałem kilometrami z aparatem w poszukiwaniu doznań. Na szczęście kolana zaczęły mi doskwierać, skutkiem czego było pojawienie się w moim życiu innych sposobów fotografowania. Coraz częściej przystawałem, czatowałem... Musiałem nauczyć się zwyczajów zwierzyny w danym miejscu, nie spłoszyć jej, bo to sprawiłoby, że byłaby wtedy ostrożniejsza bądź nawet zmieniała miejsce bytowania. Szkoda byłoby wtedy naszej pracy, bo musielibyśmy zaczynać od nowa, w innym miejscu.

Pewnym odkryciem jest to, że wiele zwierząt jest sprawniejszych motorycznie od nas ludzi i dlatego zamiast się na przykład z sarną ścigać, czasem lepiej jest pozwolić jej do nas przyjść. Trzeba tylko cierpliwości, a czasem zaciekawienia jej. Gdy jestem zmuszony zamaskować się, sam mam też ograniczoną widoczność. Bardzo ważny jest wtedy słuch, bo zdradza to, co się może za chwilę zdarzyć i pozwala przygotować się do tego, choćby przez skierowanie obiektywu w dobrym kierunku. Szczególne emocje są wtedy, gdy obiekt pojawia się w oddali: przyjdzie do mnie czy też nie?

Przy fotografowaniu ssaków kamuflaż nie jest już taki ważny, wystarczy jakiś krzaczek lub pień drzewa. Ciekawe, bo nasze ludzkie postrzeganie świata jest podobne do ptasiego, też jesteśmy wzrokowcami. Natomiast z ssakami mocno pod tym względem się

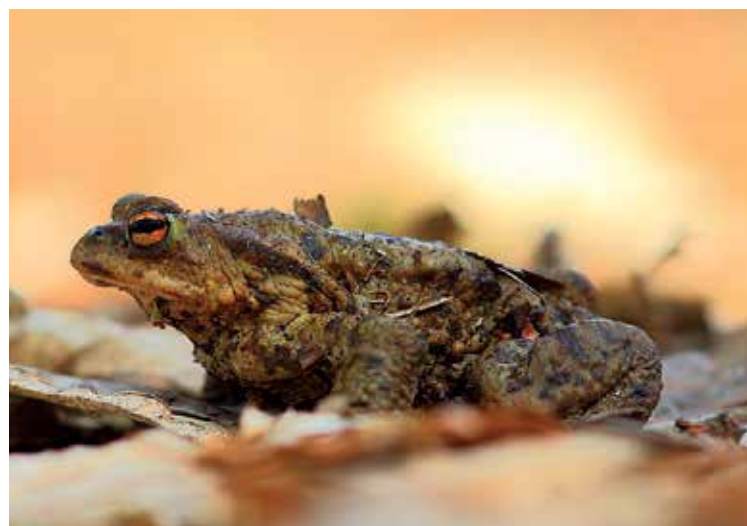




rozmijamy. Sarny, jelenie, dziki, zające nie potrafią nas dostrzec, gdy siedzimy na przykład na zwyczajce, bo ich mózgi nie potrafią nas, jako oddzielne obiekty, wtedy wyłuskać. Ssaki żyją natomiast bardziej w świecie zapachów. Ptak, jak nas nie widzi, to dla niego nie istniejemy, natomiast ssak, jak poczuje nasz zapach, wie nawet, jaką mamy płęć, zgaduje nasze emocje, orientuje się czy jedliśmy mięso (drapieżnik), czy może wolimy dietę wegetariańską (roślinożerca).

Gdy już pojawi się ciekawy obiekt, staram się, aby nie zmarnować nadarzającej się okazji. Wtedy nie ma już czasu i możliwości na zmianę ani mojej pozycji, ani obserwowanej przeze mnie zwierzyny. Na to był czas wcześniej... To wtedy mogłem wybrać miejsce zasiadki, aby światło padało z odpowiedniego kierunku, a tło – bardzo przecież ważne w fotografii – nie przeszkadzało. W ubiegłym roku znalazłem stanowisko, gdzie jelenie byki wracały przed świtem do dziennej ostoi. Niby proste zadanie, ale nocowały tam żurawie i gęsi, których nie można było spłoszyć. Dodatkowo ważny był odpowiedni kierunek wiatru, a ten zdarzył się tylko z 5 razy i tyle tylko miałem szans. A nawet jak te jelenie szły, to nie zawsze tam, gdzie bym chciał...

Może nie najlepiej odpowiedziałem na Twoje pytanie, Jacku, ale chciałem powiedzieć, że bardzo



ważne jest dla mnie to poznawanie zwierzyny oraz nauczenie się tego, jak ona postrzega świat. Aparat mi w tym doskonale pomaga. Jednak wraz z liczbą spotkań i zdjęć, pojawia się potrzeba, aby te ujęcia, których mam mnóstwo i stale ich przybywa, były jakieś inne, lepsze, z nastrojem albo ciekawym zachowaniem zwierzęcia...

– *Zrobiłeś wiele wspaniałych klimatycznie i w barwie zdjęć zwierząt związanych z polem i lasem. Mnie najbardziej ujęły pojawiające się od niedawna zdjęcia związane z mieszkańcami Stawów Milickich, poranny-*



mi oparami mgieł, wędrówką w tym światła, wrażenie impresjonistycznego malarstwa – połączone z dynamiką, ruchem lub przewrotnie bezruchem – realistycznego zwierzęcia. To już nie dokumentacja, to malarstwo. Na ile ta atmosfera natury odrywa Cię od „chłodu” obserwacji i zapisu otoczenia?

– Dziękuję Jacku za taką ocenę. Cenię sobie ją tym bardziej, że jako artysta jesteś bardziej wrażliwy na takie niuanse. Zawsze jestem też pod wrażeniem kolejnego numeru „Pasji”. To czasopismo jest po prostu piękne i nawet jak kogoś te łowieckie historie nie interesują, to z chęcią ją przekartkuje. Każdy jej element jest przemyślany, Nawet krój, kolor czcionki i ustawienie tytułu na stronie, nie jest tu przypadkowe. Stale się uczę, również od Ciebie, bo wybierasz według swojego klucza moje fotografie do konkretnego tekstu. Patrząc na nie wtedy inaczej, odkrywając je na nowo.

Te chwile na stawach, gdy panuje jakaś magia, są krótkie i trzeba mieć trochę szczęścia, aby właśnie wtedy pojawił się jakiś obiekt w odpowiednim miejscu i powstał ciekawy obraz. Często jedzie się dziesiątki kilometrów i nic niezwykłego się nie dzieje. Na szczęście kilka razy w roku wszystko dobrze współgra, a nawet coś zaskakuje jakimś bonusem. Chociaż wtedy sytuacja potrafi być bardzo dynamiczna i łatwo można popełnić błędy. Refleksje, czy wybrało się najlepszą opcję, przychodzą później. Są obiekty łatwe do sfotografowania, jak np. łabę-



dzie. Piękne ptaki, ale aby ich obraz przyciągał oko, z uwagi na ich pospolicieść, trzeba czegoś dodatkowego, szczególnego światła, tła, pozy, perspektywy, może nawet mgły.



Z kolei zdjęcie wilka nie musi być już takie szczególne, aby wzbudzać emocje. Przekładając to na tematy bardziej łowieckie, słabe zdjęcie myłkusa (red.: samiec zwierzyny płowej z nietypowo ukształtowa-

nym porożem) 600-gramowego będzie atrakcyjniejsze dla myśliwych niż piękne zdjęcie kozy. Dla fotografów szczególnie cenne są świty i zmierzchy, bo wtedy wiele zwierząt jest aktywnych, a jest trochę światła potrzebnego przecież do fotografowania. To też trudny okres, bo to oświetlenie zmienia się z minuty na minutę i trzeba to jakoś uwzględniać w ustawieniach aparatu, szukając kompromisu. Przy teleobiektywach dajemy wtedy zwykle najmniejszą przesłonę i balansujemy czasem, aby ISO (red.: w fotografii ISO określa czułość na światło matrycy światłoczułej, czyli elementu rejestrującego obraz) nie było zbyt duże. Dłuższy czas oznacza ryzyko rozmazanych, poruszonych obiektów, skrócenie zaś tego czasu, powoduje pogorszenie jakości zdjęcia, bo rośnie ISO. Gdy o szarówce idą przykładowo jelenie, możemy dając krótki, np. 1/400 s, czas naświetlania, uzyskać nieporuszone, ale zaszumione zdjęcia, albo wybierając długi czas, np. 1/50 s, wykonać serię rozmazanych zdjęć. Wtedy jest nadzieja, że choć jedno lub dwa zdjęcia będą dobre, a przez mniejsze wtedy ISO, będą one lepsze jakościowo.

Czasem też takie poruszone zdjęcie ma dodatkowe atuty w postaci zapisanego ruchu zwierzęcia, czy też np. wody wzbijanej przy jego ruchu. Do takich rozmazanych zdjęć szczególnie dobrze pozują lecące ptaki. Całe ich ciało, szczególnie skrzydła, są w ruchu, natomiast ptasia głowa ma wbudowaną naturalną stabilizację i przy dobrym prowadzeniu aparatem ptaka możemy mieć ciekawe zdjęcie. Ponieważ bardzo trudno zaplanować pojawienie się jeleni lub czapli w odpowiednim momencie i miejscu, gdy takie magiczne warunki panują, jest to częściej improwizacja niż wykonanie założonego planu.

Oczywiście, sam krajobraz może być również dobrym tematem zdjęcia, ja jednak wolę, aby takim dopełnieniem obrazu był jakiś ssak lub ptak. Jak tylko scena się skończy, niecierpliwie sprawdzam, jak wyszło i zastanawiam się, czy można było lepiej zrobić to zdjęcie. Tak jak w życiu, często zwierzyna przychodzi za wcześnie lub się spóźnia, pojawia nie tam, gdzie chcemy, a bywa, że nie przychodzi wcale. Nie jest łatwo, ale pewnie dlatego tak to wciąga. Praktyka i związany z nią czas jej trwania przynoszą mi stosowną wiedzę, a to wymaga oczywiście analizy zdarzeń i wyciągnięcia wniosków. Analiza i wnioski wymagają chłodu myślenia. Faktem jest natomiast to, że oprócz pragnienia wiedzy o przyrodzie, także jej piękno, jest tym, co mnie nieustająco fascynuje. Motywuje i zaurocza, a to czasami prowadzi do zapomnienia o tych wszystkich technicznych aspektach. Odsuwa je na rzecz piękna obrazu.

– *Dziękuję za rozmowę.*



W przyrodzie

Pasterze i myśliwi

Tekst: prof. dr hab. Piotr Tryjanowski
Ilustracje: Ehaan Deva (Pexels), Jacek Seniów

ONZ ogłosiła 2026 Międzynarodowym Rokiem Ochrony Pastwisk i Pasterzy – gest, który brzmi jak ukłon w stronę świata „sprzed GPS”, a w gruncie rzeczy jest bardzo współczesnym alar-

mem: pastwiska i ludzie, którzy je utrzymują, są dziś jednocześnie niedoceniani i kluczowi. Mówimy o terenach, które zajmują znaczącą część lądów Ziemi, są ostoją bioróżnorodności i podstawą bytowania wielu

społeczności, a przy tym łatwo je stracić – przez porzucenie użytkowania, przez złe pojętą modernizację albo przez politykę, która nie widzi dalej niż do granicy kadencji.

I teraz pytanie, które brzmi prowokacyjnie, ale jest uczciwe: czy taki „rok pasterzy” ma coś wspólnego z łowiectwem?

Formalnie nie – rezolucja nie jest o myśliwych. A jednak w praktyce związek jest oczywisty, bo pasterstwo i łowiectwo spotykają się w tym samym miejscu: w krajobrazie, który nie jest ani parkiem rozrywki, ani laboratoryjnie czystą „naturą”, tylko przestrzenią nieustannych kompromisów. To dwa różne sposoby bycia w terenie i dwa różne języki opowieści o zwierzętach, ale ten sam ciężar konsekwencji. Jedni i drudzy dotyczą tego, co dla większości mieszkańców miast stało się abstrakcją: że przyroda nie działa „bez tarcia”, że życie w terenie oznacza ryzyko, straty, zapach, błoto, czasem złość – i konieczność podejmowania decyzji, które nie mają wersji idealnej.

Piszę to wszystko jako ornitolog, który zwykle obserwuje świat przez lornetkę, z lekkiego oddalenia. Nie poluję, a w pracach pasterskich uczestniczę rzadko, ale widzę, jak te aktywności rzeźbią scenę dla ptaków. Dobrze prowadzony wypas potrafi utrzymać otwarte łąki w stanie, który dla wielu gatunków jest bezcenny: mozaika roślinności, odsłonięta ziemia tu i ówdzie, niska darń, „nieporządek” – czyli życie. Z kolei decyzje o gospodarowaniu zwierzyzną, o tym co jest tolerowane, co jest nadmiarowe, a co wymaga kontroli, potrafią zmieniać presję na gniazda i lęgi, choć rzadko mówi się o tym językiem ptaków. To mnie zawsze uderza: spory ludzi są głośne, a przyrodnicze skutki ich sporów – ciche, rozciągnięte w czasie i przez to łatwe do przeoczenia.

Dawniej myśliwi i pasterze bywali bliżej siebie, choć niekoniecznie w romantycznym sensie. Łączyła ich wspólna umiejętność czytania terenu, sezonu, śladów i pogody; łączyła świadomość, że krajobraz jest żywicielką, a nie tłem. Dziś, w epoce, w której większość z nas ma kontakt z naturą głównie przez szybę samochodu albo ekran, ta wspólna kompetencja stała się podejrzana – jakby wiedza terenowa była rodzajem „interesu”, a nie formą odpowiedzialności. Zaczęliśmy też łatwo mylić przyrodę z dekoracją: ma być ładna, bezkonfliktowa, dostępna na żądanie, a najlepiej jeszcze podpisana, żeby nikt nie musiał się domyślać, co widzi.

W tym sensie konflikt między myśliwymi a pasterzami bywa tylko lokalną wersją szerszej choroby: marzenia o sterylnym świecie. Sterylne miasta produkują sterylne wyobrażenia, a te wyobrażenia – sterylne krajobrazy. Tak czyste, że wyprane ze śpie-

wu skowronka, z rechotu żab, z rykowiska jeleni; tak uporządkowane, że nic się w nich nie mieści, poza tym, co zaplanowane. Paradoks polega na tym, że kiedy krajobraz staje się zbyt „czysty”, znika nie tylko dzikość, ale i sens wielu działań ochronnych: potem trzeba na siłę odtwarzać to, co dawniej utrzymywało się samo, bo ktoś wypasał, kosił, przepędzał stado, pilnował granicy między lasem a łąką.

Oczywiście, są punkty zapalne – drapieżniki, szkody, napięcia wokół ochrony gatunkowej, wreszcie zwykłe ludzkie poczucie niesprawiedliwości. Problem w tym, że w dzisiejszym obiegu emocji jeden temat potrafi zagłuszyć wszystkie inne, a całe relacje sprowadzić do jednego symbolu. Tymczasem, jeśli chcemy sensownie rozmawiać o współistnieniu, warto przestawić ostrość: z pojedynczych „gorących” sporów na całość układu. Na to, jak utrzymać mozaikę siedlisk; jak zmniejszać straty tam, gdzie da się je zmniejszać; jak projektować rozwiązania, które nie są ani manifestem, ani kapitulacją, tylko praktyką.

Międzynarodowy Rok Ochrony Pastwisk i Pasterzy ma tu potencjał zaskakująco konkretny. FAO pisze wprost o wzmacnianiu roli pasterzy jako opiekunów tych ekosystemów, o bioróżnorodności, odporności na zmiany klimatu i o tym, że to nie „folklor”, tylko element bezpieczeństwa żywnościowego i zdrowia krajobrazu.

W Polsce moglibyśmy dodać: to także szansa, by rozmowę o przyrodzie odzyskać z internetu i oddać ją terenowi. Żeby myśliwi przestali być wyłącznie figurą z moralitetu, a pasterze wyłącznie elementem pocztówki. Żeby obie strony mogły mówić o tym, co realnie robią i czego realnie potrzebują – bez przymusu udowadniania, że są albo aniołami, albo demonami.

A ptaki? Ptaki, jak zwykle, nie mają żadnej frakcji i żadnego PR-u. One po prostu pokazują, czy krajobraz jeszcze działa. Jeśli łąka zarasta, znikają gatunki otwartego terenu. Jeśli presja w pewnych miejscach rośnie – lęgi się nie udają. Jeśli wszystko podporządkujemy sterylności, zostanie nam cisza, którą łatwo pomylić ze spokojem. I chyba o to chodzi w tej opowieści: nie o to, by wygrała jedna narracja, tylko by ocalał świat, w którym cokolwiek jeszcze śpiewa.

Kiedy więc pytasz, czy „rok pasterzy” może mieć związek z łowiectwem – odpowiadam: tak, jeśli potraktujemy go jako rok krajobrazu, a nie jako okazję do nowej wojny plemienną. Prawdziwa treść zaczyna się tam, gdzie ludzie spotykają się na tej samej drodze gruntowej i muszą uzgodnić, jak żyć obok siebie – i obok przyrody – bez wzajemnego upokarzania się, bez infantylizmu i bez marzenia, że da się świat „wyczyścić” z konfliktów, nie czyszcząc go przy okazji z życia.





Z duchami Indian

Rozmawia: Jacek Seniów

Zdjęcia: Adam Wawrzyniak, Gabriel Walesiak

Ilustracja graficzna: Karl Bodmer

Czy można zliczyć oblicza pasji? Pewnie by się to udało, ale nie łatwo i zajęłoby trochę czasu. Jednym z nich jest indianistyka. Pokolenia chłopców, i nie tylko, tonęły wręcz w barwnym, dynamicznym i tajemniczym indiańskim świecie, który mądrze podany ma olbrzymi potencjał wychowawczy. Stąd bardzo ucieszyła mnie możliwość porozmawiania ze znanym polskim miłośnikiem i znawcą indiańskiej kultury, a jednocześnie wytrawnym myśliwym, panem Gabrielem Walesiakiem.

– *Czym jest indianistyka?*

– Pojęcie ma wiele znaczeń. Z jednej strony jest nauką o języku, historii, literaturze, kulturze Indian, natomiast z drugiej strony jest to rodzaj nauki etnograficznej dotyczącej dawnych mieszkańców Ameryki, których od zawsze nazywaliśmy Indianami. To także rodzaj pasji związanej z czynnym studiowaniem całokształtu wiedzy dotyczącej ich kultury, angażowania się w nią poprzez takie czynności, jak: łowiectwo, jeździectwo, taniec, ubiór czy spędzanie wolnego czasu na sposób „indiański” lub wypoczynku na łonie natury, jakim jest biwakowanie w indiańskim namiocie tipi (nie mylić z wigwamem, czyli indiańskim szałasem). Z wywiadu środowiskowego naszych myśliwych mogę stwierdzić, że fascynacja kulturą Indian z Wielkich Równin Ameryki Północnej u większości z nas zaczęła się bardzo wcześnie i wyrosła na kanwie literatury buntowniczej takich pisarzy, jak: Karol May, James Curwood, Jack London, Alfred i Krystyna Szklarscy czy Stanisław Supłatowicz, czyli nasz rodzimy Sat-okh. Wizerunek „szlachetnego dzikiego myśliwego” utrwały takie świetne filmy, jak np. „Człowiek zwany Koniem”, „Człowiek w dziczy” lub „Tańczący z Wilkami”. Poza książkami dzieci lat 60.-70. ubiegłego wieku miały możliwość wspólnych zabaw w Indian, z łukami, oszczepami, plenerowymi ogniskami i własnoręcznie budowanymi szałasami. To właśnie przeniosłem w dorosłym życiu na chłonięcie przyrody pełną piersią podczas spływów łodzią, biwakowania, wędrowania albo pozostawanie pełnoprawnym myśliwym z ponad dwudziestoletnim stażem. Myślę, że większość myśliwych pielęgnuje w sobie taką część bycia Pierwotnym Łowcą.

Od najmłodszych lat wołał mnie las, bagna, jeziora i rzeki. Zwierzęta były moją pierwszą miłością. Wcześniej odkryłem pasję wędkarską, a szczupak był dla mnie synonimem groźnego, mitycznego stwora. Krocząc tą pasją skończyłem Technikum Rybackie w Sierakowie Wielkopolskim, szkołę pasjonatów przyrodniczych z całej Polski.

Na poważnie indianistyką zacząłem zajmować się po poznaniu doskonałego mistrza szycia strojów, znawcy kultury Indian i właściciela pokazowej wioski indiańskiej „Wokini”, który do dziś pozostaje jednym z moich najbliższych przyjaciół. Człowiek ten jest bar-

dzo wiarygodnym źródłem wiedzy i to w dużej mierze dzięki niemu mogłem wejść na wyższy poziom poznawczy kultury Indian. Przy kompletowaniu stroju bez głębokiej wiedzy łatwo o groteskę. To dla laika zupełnie „ruchome piaski”. Wspomniany przeze mnie przyjaciel wiedzę czerpał z książek, ale też z wymiany doświadczeń z rękodzielnikami reprezentującymi różne kraje. Prowadził mnie przez meandry indianistyki. Wielokrotnie konsultowaliśmy dobór detali przez pryzmat moich preferencji, ale tak, aby ubiór był idealnie odwzorowany historycznie.

Drugim bardzo ważnym nauczycielem i mentorem w zakresie kultury, a zwłaszcza relacji Indian z białymi najeźdźcami, był pisarz historyczny – Jarosław Wojtczak, który uzupełnia lukę wiedzy w polskiej bibliografii dotyczącej Indian. Książki tego autora są wysoko cenione przez krytyków i znawców tematu.

I tak na przykład na kompletny skórzany strój wojownika Siuksów Lakota, bo te plemiona mnie najbardziej fascynują, składa się koszula szyta z wyprawionej jeleniej skóry (irchy), przepaski biodrowej kryjącej intymne części ciała mężczyzny i nogawic zwanych legginsami. Odrębną kwestią jest zdobienie elementów ubioru wzorzystymi pasami, wielobarwnymi kopiami muzealnych eksponatów z epoki historycznej. Kolorowe szklane paciorki, wzorowane na XIX-wiecznych oryginałach, do dziś produkuje na zamówienie czeska fabryka sztucznej biżuterii Jablonex. Ich kształt, barwa i odcienie są dokładnie takie same jak koralików sprzedawanych Indianom przez białych handlarzy i traperów. Innymi dodatkami zdobiącymi koszulę i nogawice są ludzkie włosy, a całość dopełniają fragmenty skór zwierzęcych i pióra ptaków. Indiańskie buty – mokasyny – wykonuje się także ze skóry i czasem ozdabia wzorami Siuksów Lakota i innych plemion z Równin. Zdarzają się koszule tzw. przechodnie, zdobyczne, posiadające cechy zdobienia kilku plemion sąsiadujących ze sobą w obrębie np. rzeki Missouri. Taki strój noszą uczestnicząc w corocznych, międzynarodowych konkursach tanecznych Pow-wow, które odbywają się m.in. od wielu lat w czeskiej Pradze. Atmosfera takiego konkursu, przy akompaniamencie głośniejszych bębnow i śpiewów profesjonalnych zespołów, pozwala duchowo przenosić się do innej krainy, jakby działał legendarny

wehikuł czasu! Wielokrotnie podczas konkursowego tańca pomiędzy „wojownikami” z całej Europy zdarzało mi się wpadać we wspólny, interaktywny trans, a dźwięczny rytm indiańskich bębnow przeni-kał mnie na wskroś. Wibrujące śpiewy w stylu pierwotnych łowców przenosiły mnie niemal w czasy naszych przodków z okresu zlodowaceń, polujących gromadnie na mamuty, nosorożce włochate, piżmo-woły i niedźwiedzie jaskiniowe. W takim tańcu naśla-duje się ruchy zwierząt, gesty wykonywane podczas polowania, podchody albo walkę wojowników. Kon-kurs obejmuje zróżnicowane style, jak np. Styl Tra-dycyjny Północny, Podskoki wrony („Crow hop”) lub Taniec zwiadowców („Sneak up”). Kiedy uczestniczę w takim tańcu, a pióra orłów i jastrzębi ożywają na mnie, czuję ciekawy, atawistyczny stan pełen cech odziedziczonych po dalekich przodkach.



– *Oczami czy duszą, czyli jak Indianin patrzył na świat?*

– Temat jest bardzo obszerny. Skrótowno ujmując, stopień bogactwa duchowego Indian nie mieści się w żadnej z definicji człowieka współczesnego. Wy-rażało się to w codziennym życiu. I tak na przykład sposób zdobienia ubrań był określony kanonami ple-mienia/ludu i wynikał z konkretnych preferencji ko-lorystycznych i wzorniczych, ale zawierał też bardzo zindywidualizowany element magiczny. Wszelkie artefakty pochodzenia naturalnego, od kamienia po całe spreparowane ptaki wplecione we włosy, miały

przekaz duchowy, symboliczny. Naszyjniki z pazurów czy zębów zwierząt są dla nas zrozumiałe, ale już zasuszony i zawieszony na szyi ludzki palec odcięty pokonanemu wrogowi jest czymś, co budzi kontro-wersje. Zdobienie ubrań lub malowanie wzorów na poszyciu tipi było związane z momentem uducho-wienia podczas okresów medytacji w odosobnieniu i ścisłego postu lub po nawiedzeniu we śnie przez Duchy Opiekuńcze albo nieżyjących przodków. Nie-kóre formy zdobienia były przynależne do danej rodziny i kultywowane w następnych pokoleniach, zazdrośnie strzeżone przez jej członków, nawet do czasów współczesnych. Tarcza wojownika zrobiona ze skóry z garbu byka bizona, najtwardszej części skóry zwierzęcia, co ciekawe zwykle miała dwa ma-lowidła. Jedno ukryte, z wzorami prawdziwego – według wojownika – Ducha Ochronnego, a drugie,

namalowane na jeleniej skórze, zawierające także symbole ochronne, ale okrywające tarczę przed np. rzuceniem uroku przez wroga lub niesprzyjające jej właścicielowi osoby, także z własnego plemienia.

Generalnie ujmując, symbolizm zawarty był w każdej ozdobie i każdym przedmiocie codzien-nego użytku. Malunki na twarzy wojowników albo zdobienia koni przed polowaniem lub walką miały zapewnić ochronę duchową i sukces, na przykład dzięki „niewidzialności” przez zwierzęta lub wrogów. Bardzo interesujące są wszelkie obrzędy religijne albo takie o charakterze „uzdrawiającym”. Zawsze od-





noszące się do świata duchów, przodków i zwierząt. Świętymi zwierzętami koczowniczych Indian z Równin były: orzeł przedni (szukając analogii do np. katolicyzmu – odpowiednik Ducha Świętego, czyli mocy sprawczej Boga), bizon oraz niedźwiedź grizzly. Stąd zdobienie piórami orła dosłownie wszystkiego, co musi mieć moc: broni, tarczy ochronnej, koszuli wojennej, tipi, nakrycia głowy itp. Z kolei bizon, według wierzeń koczowniczych myśliwych, to zwierzę, które w pełni oddało się w ofierze człowiekowi. Specjalnie do tego stworzone przez Stwórcę (Wielkiego Ducha). Bizon żywił, ubierał i ochraniał. Jego ciało było wykorzystane niemal w całości. Mięso dawało całoroczny pokarm, świeże wykorzystywano w okresie letnich polowań, a wysuszone – starte na proszek i zmieszane z tłuszczem oraz dzikimi jagodami (tzw. pemmi-

XIX wieku pozostało zaledwie ok. tysiąca). Obrazują to słowa jednego z kartografów z XIX wieku, widzącego „morze garbów aż po horyzont i przemierzających się jak powolna, wielka rzeka przez trzy dni”, zanim stado przetoczyło się przed jego oczami. Przy tej zasobności w żywność Indianie z Wielkich Równin nie wyobrażali sobie życia bez bizona i dobrodziejstw z nim związanych. Trzecim „świętym” zwierzęciem był niedźwiedź grizzly. I tak, jedno plemiona wykorzystywały go jako zwierzę łowne, a inne, czcząc go, wychwalały jego mądrość i siłę, uznawały za zwierzę święte i nietykalne.

Abyśmy dobrze rozumieli jak mocno świat duchowy jest zakorzeniony w kulturze i dlaczego przetrwał okres „ucywilizowania”, przytoczę anegdotę z największego w Europie międzynarodowego obo-



kan) – w okresie zimowych głodów. Skóra z kolei była świętym materiałem na posłania, okrycia zimowe i poszycie tipi. W zależności od wielkości namiotu potrzeba było od 15 do 30 takich skór, aby zbudować tipi dla mniej lub bardziej licznej rodziny. Warto zwrócić uwagę na to, że przeciętna rodzina indiańska składała się z pięciu osób, w tym dwóch mężczyzn. Ze ścięgien robiono nici i cięciwy do łuków. Z kości i rogów wyrabiano narzędzia codziennego użytku, np. igły i łyżki, a kopyta po stopieniu w ogniu dawały mocny klej. Pęcherz bizona nadawał się świetnie na pojemnik do noszenia wody. W czasach prekolumbijskich bizon był najliczniejszym gatunkiem parzystokopytnym na świecie. Jego liczebność w Ameryce Północnej szacuje się 30 do 50 mln sztuk (pod koniec

zu indiańskiego, organizowanego przez niemieckich pasjonatów indianistyki na terenie Niemiec, gdzie zapraszani są także „prawdziwi” Indianie, jak np. prawnuk najslawniejszego Siuksa-Lakoty – wodza „Czerwonej Chmury”. Jeden z uczestników obozu miał namalowane graffiti na swoim tipi, skopiowane z historycznego zdjęcia. W pewnym momencie podszedł do niego Indianin z USA i zwrócił uwagę, że jest to jego rodzinny, od pokoleń, malunek symboli duchów opiekuńczych i nie można go ot tak sobie kopiować i używać bez jego zgody. Stwierdził przy tym, że warunkiem zachowania kanonu rytuału duchowego jest wspólnie dokonany obrzęd, zwany „transferem mocy”. Taki jest warunek posiadania malunków. Oczywiście bez możliwości transferu du-

chowego dalej na inne osoby, które chciałyby mieć w ten sposób udekorowane własne tipi. Nie obyło się też bez gruntownego przesłuchania i poznania intencji oraz osobowości właściciela tipi.

Historia ta obila się głośnym echem w społeczności indianistów europejskich, skłaniając ich do zwerifikowania swoich malowideł, po to, aby nie narażać się na opinię „złodziei kultury” po drugiej stronie Atlantyku. Bo i takie opinie krążą wśród Indian. W dobie internetu i wszędobylskiego paparazzo łatwo o gorzkie komentarze. Stąd moje tipi wymalowałem własnoręcznie kombinacją grafik zwierząt z naszych europejskich jaskiń, takich jak francuskie Lascaux, Trois Freres, Niaux, Chauvet czy hiszpańskiej Altamiry, gdzie mój dobór zwierząt był zgodny z fauną Ameryki Północnej z pewną dozą... „licentia poetica”. Przecież malowali je 18-30 tys. lat temu nasi „quasi Indianie”. Gdy zagra na moim tipi migające światło ognia, czyniąc malowidła witrażami, to doświadczam właśnie wehikułu czasu do okresu zlodowaceń. Popadam wtedy w zadumę nad twórcami tak przecież zaawansowanych graficznie wizerunków zwierząt. A także nad tym, ile te prawdziwe naskalne malowidła przynosiły emocji naszym myśliwskim przodkom.

Kolejnym przykładem „żywych wierzeń” jest palenie fajki, której kształt, co ciekawe, od stuleci się nie zmienił. Główna jest wykonana z czerwonej świętej skały dla wszystkich plemion indiańskich – katlinitu, a cybuch zdobiony jest piórami orła. Mówię o rytuale wspólnego, obrzędowego palenia mieszaniny ziół bazujących na szaflwii. Jest ona porównywana do katolickiej monstrancji i nie każdy z Europejczyków został uhonorowany zaszczytem wspólnego jej palenia lub uzyskania pozwolenia na powtarzanie tego rytuału. Oczywiście wypalane są inne fajki w klasycznym stylu dla przyjemności czy towarzysko. Podczas wspólnego palenia fajka przekazywana jest z rąk do rąk w krąg – zawsze zgodnie z ruchem słońca – to znaczy od lewej strony do prawej. Do palenia dopuszczony jest wtedy klasyczny tytoń lub jego mieszanina z innymi ziołami.

Zakazy obejmują takie rytuały, jak taniec bizona albo niedźwiedzia. Tańczą je tylko „certyfikowani” Indianie w USA. Taniec Słońca, znany nam z filmów o Dzikim Zachodzie, odprowadzany zgodnie z prawidłami rytuału, jest zupełnie zakazany i niewielu ludzi doświadczyło go w XXI wieku. Jeśli ktoś taki rytuał bez pozwolenia odprowadził, to w oczach Indian nie ma on żadnej wartości religijnej. Jest on wówczas postrzegany jako naganne świętokradczy. Rytuał obejmował przysięgę Słońcu i Wielkiemu Duchowi, stanie przy ognisku od wschodu do kolejnego wschodu słońca, a następnie taniec w rytm śpiewów i bębnow z zaczepionymi rzemieniami do przebitej skóry piersi.

Należało je po odpowiednio długim tańcu dosłownie wyrwać, składając ofiarę z bólu Najwyższemu. I tym samym stając się już w oczach plemienia Prawdziwym Człowiekiem – mężczyzną – wojownikiem – myśliwym. Taniec ten nie był tańcem sensu stricto – inicjacyjnym, jak często jest pokazywany w filmach, lecz głównie „tańcem dziękczynnym” w intencji np. wyzdrowienia rodzica.

– Jak w tym świecie przedmiotu i ducha, a może bardziej ducha i przedmiotu plasowało się łowiectwo?

– Łowiectwo było zajęciem typowo męskim i od niemal kołyski indiańscy chłopcy byli wychowywani przez całą społeczność w duchu myśliwego i wojownika. Prozaicznie ujmując, niska skuteczność myśliwego eliminowała go z grupy jako zbędnego, jeśli nie posiadał cech korzystnych dla gromady. Wielowiekowa selekcja takiego doboru naturalnego wytworzyła prawdziwego ludzkiego drapieżnika ze wszystkimi zmysłami ukierunkowanymi na polowanie i walkę, bez zbędnych obciążeń moralnych. Trzeba też spojrzeć na cykliczność okresów obfitujących w pożywienie i okresy skrajnego głodu. I to jest właściwy pryzmat postrzegania kultury łowieckiej ludów pierwotnych.

Indianie polowali w pojedynkę albo grupowo. Pojedynczy myśliwy zwykle zdobywał zwierzęta dostępne akurat w niedalekiej odległości od obozu. Były to łowy bez szczególnej oprawy duchowej, jeśli łowca nie szedł zmierzyć się z tak wymagającym przeciwnikiem jak niedźwiedź lub puma. Bardzo interesujące są obrzędy taneczne związane z gromadnymi polowaniami na bizona. Polowania charakteryzowały się potencjalnie dużą wypadkowością, wymagały od mężczyzn sprawności fizycznej, wręcz kaskaderskiej. Zwykle proszono duchy zwierząt, aby były przychylne i oddały ludziom swoje ciała. A także o to, aby nie mściły się później za zadanie śmierci. Wznoszono też modły za pomyślność wyprawy, bo przecież od tego zależała jakość życia gromady i cały ogólny byt plemienia. Zawsze po udanym polowaniu sukces świętowano tańcem całej społeczności. Jeśli sukcesu nie było, należało powtórzyć modły, bo widocznie te wcześniejsze były zbyt słabe i dlatego polowanie się nie udało.

Odrębnym tematem jest etyka łowiecka. Szczegółowo mówiąc, czegoś takiego nie było, przynajmniej w rozumieniu naszej cywilizacji. Zabijano skutecznie i do skutku, niejednokrotnie na zapas lub dla niepohamowanej pasji łowieckiej. W okresie przed pozyskaniem przez Indian konia (a to nastąpiło tak naprawdę dopiero w połowie XVIII wieku) wykorzystywano ukształtowanie terenu, zapędzając stado bizonów nad uskok terenu, tak aby zwierzęta spadły w przepaść i zginęły od upadku lub mocno się poturbowały, stając się łatwym łupem dla pieszych myśliwych.



W Stanach Zjednoczonych i Kanadzie są takie miejsca, gdzie archeolodzy odnajdują tysiące zwierzęcych szkieletów, a tylko część kości jest naznaczona nacięciami zrobionymi przez ludzi. Pułapki takie, tzw. bizonie zeskokki, były stosowane od wieków i zwykle zastawiano je przy szlakach migracyjnych stad bizonów, karibu, jeleni wapiti lub antylop. W okresie badaczy-etnografów Dzikiego Zachodu znajdujemy zapiski zaczerpnięte z obserwacji polowań konnych, w trakcie których myśliwi otaczali w krąg małe stado bizonów, wybijając je do ostatniej sztuki, często ponad miarę i zapotrzebowanie. Bo większość sztuk, tak po prawdzie mówiąc, była zmarnotrawiona. Gorąca krew myśliwego często brała górę nad rozważą i myśleniem o przyszłości.

Trofea łowieckie, tak popularne w naszej europejskiej kulturze, ograniczały się w zasadzie do kłów i pazurów drapieżników. Ich pozyskiwanie miało raczej charakter duchowy, pozwalający na przyswojenie tak pożądanых cech, jak siła lub odwaga. W tej materii prym wiodą naszyjniki z niedźwiedziej pazurów, z naciskiem na pazury z przednich łap jako najbardziej spektakularnych, okazalszych. Pazurami niedźwiedzia można było udekorować broń, ubranie, ale też obrzędowe regalia używane np. podczas tańca. Ale znane są też naszyjniki dekorowane kłami pumy, wilka, niedźwiedzia lub pazurami orłów. A także naszyjniki składające się tylko z siekaczy jeleni wapiti albo łosi. Biorąc pod uwagę koczowniczy tryb życia i ograniczoną liczbę niezbędnego dobytku, nie zabierano ze sobą czaszek lub wieńców, ale je porzucano, chyba że czaszka bizona miała specjalne, duchowe przeznaczenie ceremonialne albo miała wyjątkową wartość dla danej rodziny. Wyjątek stanowią osady plemion osiadłych, gdzie trofea zwierzęce miały zawsze pierwszeństwo w sprawach duchowych, a dopiero później estetycznych. Pragmatyzm nade wszystko.

– Czy indiańska kultura i tradycja odnajduje się we współczesnym świecie łowieckim?

– Uważam, że tak daleko jesteśmy zlaicyzowani cywilizacją, wiedzą naukową, że nie sięgamy nawet dolnych granic zabobonu Indian, którzy opierali swoje istnienie na własnym, wyimaginowanym tłumaczeniu rzeczywistości. Człowiek współczesny, opierający się głównie na wierze, nie jest w stanie przetrwać w społeczeństwie uprzemysłowionym. I jest traktowany jako ciemny i niedouczony, wykluczany jest poza nawias godnego życia i skutecznego zarobkowania. Oczywiście lubimy bawić się naszymi elementami kultury łowieckiej, jak odczynianie łuf broni... pończochami damskimi lub chwyatanie na szczęście kolana wybranki tuż przed wyprawą na polowanie. Dobry myśliwy z każdego okresu dziejów bazuje na znajomości topografii terenów łowieckich i zachowania zwierząt. Analizuje, kompletuje wiedzę, wyostrza wszystkie zmysły i wyobraźnię. To jest właśnie fundamentem skuteczności. Indiański myśliwy w czasach historycznych podbudowywał to negocjacjami, oszustwami lub prośbami o przychyłność dusz zwierząt albo Najwyższego. Oczekiwał znaku od Wielkiego Ducha, a jeśli ten nie był po jego myśli, to łowca nie widział sensu wyprawy. Mógł czekać na lepszy moment, aby moc czarów była po jego stronie, innej pory, innego dnia. Nawet kosztem głodowania jego najbliższych, których miał pod opieką.

Jako współcześni myśliwi potrafimy „zestroić się empatycznie” ze zwierzęciem. I też zdarza nam się przeczuwać szczęście łowieckie lub pecha jako wypadkową doświadczeń dnia lub myśli. Proszę matematycznie podnieść taki sposób myślenia do szczytów, a wchodzimy w świat indiańskich zabobonów, gdzie oprócz zwierząt, każdy kamień, każde drzewo, góra lub rzeka ma Duszę. Duszę, z którą można prowadzić w dowolnej chwili dialog. Wypuśćmy więc czasem z nas w kniei naszego łowieckiego Protoplastę dla podniesienia głębi i kolorytu przeżyć.

– Dziękuję za rozmowę.

Zearalenon

Wpływ mykotoksyn na behavior i rozród dzików
oraz zawartość zearalenonu w tkankach dzików

Tekst: Prof. dr hab. Dr h.c. Józef Nicpoń
Prof. dr hab. Jakub Nicpoń
Ośrodek Badań Środowiska Leśnego
i Hodowli Zwierząt Łownych
Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu
Zdjęcia: Ryszard Adamus

Na intensywny przyrost liczby dzików, jaki obserwujemy w ostatnich latach, oprócz wielu czynników, takich jak: zwiększenie bazy żerowej, głównie kukurydzy czy łagodne okresy zimowe, wpływ mogą mieć także mykotoksyny (red.: toksyczne substancje chemiczne wytwarzane przez niektóre grzyby pleśniowe).

Jedną z najczęściej stwierdzanych mykotoksyn w pożywieniu dzików jest zearalenon.

Zearalenon charakteryzuje się działaniem estrogennym oraz anabolicznym, powodując zaburzenia układu rozrodczego zwierząt. Prawdopodobieństwo wystąpienia zearalenonu w paszy podawanej dzikom jest bardzo duże.

Kukurydza stanowi największy procent zjadanych przez dziki upraw. Pozostające po zbiorach ziarno lub zaorane kolby kukurydzy – w warunkach odpowiedniej wilgotności, nawet przy obniżonej temperaturze – zawiera znaczne ilości mykotoksyny zearalenowej.

Z obserwacji myśliwych wynika, że pasza podawana dzikom w okresie dokarmiania jest często złej jakości (spleśniała), a zaburzenia w rozrodzie loch i ich zachowania w okresie rozrodczym są coraz bardziej zauważalne.

Liczne badania wykazały, że pokarm roślinny w diecie dzików stanowi 91% (Habeł 1969, Genor 1981, Włazerkó i Łabudzki 1992), a we Włoszech nawet 96% (Massei i wsp. 1996), w tym z upraw polnych od 63 do 71%.

Największy procent roślin zjadanych przez dziki stanowi kukurydza (Włazerkó i Łabudzki 1992), na której bardzo łatwo rozmnażają się grzyby produkujące mykotoksynę zearalenową.

W Ośrodku Badań Środowiska Leśnego i Hodowli Zwierząt Łownych przeprowadzono następujące doświadczenie: trzem grupom zwierząt (w każdej grupie znajdowało się 6 loch i 2 odyńce) podawano różną kombinację diety z zawartością mykotoksyny zearalenonu.

I grupa zwierząt otrzymywała co dwa miesiące, przez 7 dni, paszę dla tuczników z dodatkiem 2-3 kg ziarna kukurydzy oraz 150 µg/kg m.c. chemicznie czystego zearalenonu (mykotoksynę zearalenową), podawaną w jednodniowym kurczaku.

II grupa zwierząt otrzymywała, podobnie jak pierwsza grupa, paszę dla tuczników oraz 2-3 kg ziarna spleśniałej kukurydzy, która zawierała średnio 50 µg zearalenonu.

III grupa zwierząt stanowiła grupę kontrolną, w której podawana karma nie zawierała zearalenonu (mykotoksyny zearalenowej).

W ramach przeprowadzonych badań dokonano następujących obserwacji:

- Zauważono znaczne różnice behawioralne i związane z rozrodem dzików pomiędzy poszczególnymi grupami doświadczalnymi.

- Zachowanie dzików w grupie kontrolnej (III) nie odbiegało od zachowań zwierząt przebywających w zagrodach. Początkowo były nieco płochliwe, przy podawaniu karmy zbliżały się na kilkanaście metrów do obsługi, pod koniec trwania doświadczenia zwierzęta zbliżały się nawet na odległość 2-3 metrów.

- Huczka u wszystkich loch występowała w listopadzie i grudniu, a wyproszenia odbywały się w lutym i marcu. Średnia liczba prosiąt od jednej lochy w miocie wynosiła 5 sztuk (4-6). Przeżywalność prosiąt do 6 miesiąca życia, tj. do chwili oddzielenia od maciór, wynosiła 50%.

- W grupie zwierząt otrzymujących oprócz paszy treściwej ziarno kukurydzy zawierające mykotoksynę zearalenową (grupa II), nie zauważono różnic w zachowaniu w stosunku do grupy kontrolnej. Natomiast występowały znaczne różnice w okresach huczki, jak i w wyproszeniach. Huczka u części loch występowała w grudniu, ale także w kwietniu i lipcu, a wyproszenia odpowiednio w lutym, marcu, lipcu i październiku.

- Część loch prosiła się dwukrotnie w ciągu roku. Średnia liczba prosiąt w miocie wynosiła 7 sztuk, a przeżywalność do 6 miesiąca życia wynosiła średnio 5 sztuk.

- W grupie dzików, które oprócz paszy treściwej i dobrego ziarna kukurydzy otrzymywały czystą mykotoksynę zearalenową (grupa I), zauważono nadpobudliwość, a u niektórych agresywność w stosunku do prosiąt, szczególnie gdy poród zbiegał się z terminem podawania mykotoksyny. Huczka u loch w tej grupie była bardzo zróżnicowana w czasie, występowała w grudniu, styczniu, sierpniu i październiku. Natomiast wyproszenia miały miejsce odpowiednio w grudniu, styczniu, marcu, kwietniu, czerwcu i lipcu. Część loch prosiła się dwa razy w roku. W tej grupie zaobserwowano zjadanie przez niektóre maciory prosiąt w pierwszych kilkunastu godzinach po urodzeniu i występowanie rui, szczególnie jeżeli okres porodu pokrywał się z okresem podawania kolejnej dawki mykotoksyny zearalenowej. U większości loch z tej grupy występowała kolejna ruja i wyproszenie w tym samym roku. U niektórych loch, u których występowała ruja w drugim tygodniu po porodzie, na skutek zmniejszonej laktacji dochodziło do upadku prosiąt. Średnie liczby prosiąt w miocie były bardzo zróżnicowane i wynosiły 3-9 sztuk, najczęściej 6-7 prosiąt, a przeżywalność do 6 miesiąca życia wynosiła średnio 5-6 prosiąt z miotu.

- U dzików otrzymujących mykotoksynę zaobserwowano znaczny stopień wyłysienia na grzbiecie

i łopatkach, u niektórych dzików wyłysienie obejmowało nawet ponad połowę powierzchni ciała. Jednocześnie obserwowano objawy świądu, o czym świadczyło intensywne czochanie się o pnie drzew. Zmiany te występowały najczęściej w 2-3 dniu podawania mykotoksyny zearalenowej. Należy zaznaczyć, że w doświadczeniu stosowano małe dawki toksyny, zarówno przy podawaniu czystej, jak również pochodzącej ze spleśniałej kukurydzy, aby nie spowodować zatrucia zwierząt.

- Badając zawartość zearalenonu w różnym stopniu spleśniałego ziarna kukurydzy wykazano, że jego zawartość wynosiła od 50 do 648 µg/kg.

Wyższe stężenie zearalenonu powoduje: zaburzenia w rozrodzie utrudniające zapłodnienie, owulację, implantację zarodków i ich prawidłowy rozwój. Długotrwałe działanie mykotoksyn może być przyczyną uszkodzenia wątroby, wywoływać choroby nowotworowe układu rozrodczego u ludzi i zwierząt, reakcje alergiczne (Hussein i Brasel 2001).

- W grupie kontrolnej zarówno w tkankach, jak i we krwi, nie stwierdzono zawartości zearalenonu.

- Największe stężenie zearalenonu we krwi i tkankach (płuca, serce, nerki, wątroba, śledziona, mięśnie, jądra, macica) stwierdzono w grupie dzików, które przez cały okres doświadczenia otrzymywały ziarno kukurydzy z zawartością mykotoksyny.

Badania zostały wykonane w ramach projektu badawczego NCN nr NN308589140 pt. „Zawartość zearalenonu w paszy oraz tkankach dzików i jego wpływ na układ rozrodczy tych zwierząt”, trwały 3 lata. Na przeprowadzenie niniejszych badań uzyskano zgodę Komisji etycznej ds. badań naukowych.

Najczęściej zwierzynę łowną dokarmiają myśliwi i leśnicy, którzy są jednocześnie jej głównymi konsumentami, zatem wiedza na temat działania mykotoksyn (w tym mykotoksyny zearalenowej) winna skłonić do refleksji i dołożenia wszelkich starań, aby do dokarmiania wykorzystywać jedynie paszę odpowiedniej jakości.



Ekoreligia w pigułce

Tekst: prof. dr hab. Jarosław Całka

Zdjęcie: Ryszard Adamus

Artykuł ukazał się pierwotnie na portalu deon.pl

Narodziny ekologii

Ernest Haeckel w 1886 roku wprowadził pojęcie ekologia rozumiane jako nauka o wzajemnych związkach i zależnościach między organizmami żywymi i ich środowiskiem naturalnym (od greckich *oikos* – dom i *logos* – nauka). Wprowadzenie do języka i zdefiniowanie tego pojęcia zapoczątkowało w XIX wieku rozwój nowatorskiej dyscypliny naukowej. Haeckel nie mógł jednak przypuszczać, że ekologia zostanie zawłaszczona przez aktywistów klimatycznych do budowania nowej doktryny społecznej, którą można określić mianem ekoreligii. Nie mógł również przewidzieć, że światopogląd wegańsko-wegetariański stanie się etycznym filarem tej doktryny, a manipulacja społeczna i ekoterror głównymi narzędziami jej wprowadzania w życie. W praktyce, brutalne wdrażanie ekoreligii prowadzi do socjalnego potępienia całych grup społecznych, np. rolników, hodowców, myśliwych, rybaków, wędkarzy, a nawet pszczelarzy. Społeczna implementacja ekoreligii przez język przemocy, medialny hejt, stygmatyzację i wykluczenie społeczne budzą sprzeciw zdecydowanej większości Polaków. Przyjrzyjmy się argumentom uzasadniającym ten niebezpieczny kierunek przemian.

Monetyzacja cierpienia

Fundacje ekologiczne bardzo sprawnie pozyskują ogromne środki finansowe, o czym może świadczyć łączna wysokość budżetu tylko czterech największych spośród kilkuset polskich fundacji (Stowarzyszenie Otwarte Klatki, WWF Polska, Greenpeace Polska i Fundacja Viva). W 2024 roku wyniósł on aż 94 mln złotych. W tym okresie wymienione fundacje zatrudniały około 300 etatowych pracowników z pensją 6000 – 10 000 zł miesięcznie i około 400

aktywistów na umowach cywilno-prawnych z wynagrodzeniem miesięcznym ok. 2000 zł.

Istotną metodą pozyskiwania pieniędzy przez wiele fundacji ekologicznych jest monetyzacja cierpienia zwierząt, zjawisko, w którym cierpienie psychiczne i fizyczne zwierząt lub jego narracja są przedstawiane i wykorzystywane w mediach w celu generowania emocji i zaangażowania oraz pozyskiwania funduszy. Monetyzacja cierpienia to zamiana krzywdy zwierząt na pieniądze, rozpoznawalność medialną i wpływy polityczne. Media, szczególnie Internet, są przepełnione dramatycznie brzmiącymi apelami i wezwaniami o wsparcie dla ratowania cierpiących zwierząt. Większość prośb o wpłaty pieniężne nosi znamiona szantażu emocjonalnego, nakłaniającego do natychmiastowych wpłat pieniędzy. Mają one na celu wzbudzenie poczucia winy za cierpienie zwierząt i nakłanianie ludzi do wpłat pieniężnych na konta fundacji lub indywidualnych aktywistów. Szczodrość darczyńców mają wzmacniać stale powtarzane w przestrzeni medialnej komunikaty, że wszystkiemu winny jest człowiek. Zwykle przychody i wydatki fundacji ekologicznych zdobywane tą metodą owiane są mgłą tajemnicy, jednak śledztwo w sprawie licznych przestępstw, w tym prania brudnych pieniędzy, prowadzone obecnie w Dolnośląskim Inspektoracie Ochrony Zwierząt, wykazało, że w 2024 roku DIOZ, będący lokalną fundacją, zebrał bagatela 41 500 000 zł.

Dzięki olbrzymim środkom finansowym, organizacje ekologiczne przeniknęły do struktur władzy i zapewniły sobie imponującą sprawczość polityczną. Mają swoich reprezentantów w partiach politycznych, Sejmie i Rządzie. Aparat propagandowy fundacji poprzez strony na komunikatorach społecznościowych,

portale internetowe, lokalne i ogólnopolskie gazety oraz stacje telewizyjne oraz dzięki pozyskanym środkom finansowym, wykorzystywany jest do budowania rozpoznawalności medialnej i wspierania karier politycznych aktywistów. Działacze ekologiczni już jako politycy urządzają nam świat w myśl zasad ekoreligii. Przykładem jest wprowadzenie obowiązkowych posiłków wegańskich w przedszkolach i szkołach wbrew znanym faktom mówiącym o tym, że dieta wegańska może ograniczać rozwój mózgu i funkcje poznawcze u dzieci, jak również obowiązujący w Polsce, jedyny na świecie, zakaz udziału w polowaniach dzieci i młodzieży do 18 roku życia.

Wegański mikroplastik

Ideologiczne założenia i praktyka weganizmu są często nielogiczne i szkodzą zdrowiu oraz dobrostanowi ludzi i zwierząt. Przykładem antyekologicznych działań wegan i wegetarian jest odrzucenie biodegradowalnych materiałów pochodzenia zwierzęcego, np. skór, futer, wełny i pierza, a w konsekwencji zastąpienie tych ekologicznych materiałów tworzywami sztucznymi w przemyśle odzieżowym, obuwniczym i galanterijnym, co powoduje dramatyczne zanieczyszczenie środowiska bardzo toksycznym mikroplastikiem. Mikroplastik jest przyczyną wielu chorób ludzi i zwierząt, między innymi nowotworów, cukrzycy i chorób neurodegeneracyjnych. Wykluczenie skór, futer, wełny i pierza, przeczy wegańskiej i wegetariańskiej trosce o zdrowie i dobrostan zwierząt i ludzi.

Wegańsko-wegetariański paradoks

Ze względów etycznych wegańska ideologia wyklucza z ludzkiej diety wszystkie produkty pochodzenia zwierzęcego, a więc mięso (jedzenie mięsa wymaga odbierania zwierzętom życia), nabiał oraz jaja. Dieta wegańska opiera się wyłącznie na warzywach, owocach oraz nasionach zbóż i roślin strączkowych. Wegańsko-wegetariański paradoks ideologiczny polega na pominięciu oczywistego faktu, że rośliny to także żywe organizmy, które odczuwają bodźce środowiskowe, a ich zjadanie to odbieranie im życia. Dlatego etyczny argument cierpienia zjadanych zwierząt, będący podstawą wykluczenia mięsa i nabiału z diety wegańskiej, przy jednoczesnym zjadaniu żywych roślin przez wegan, kompletnie nie przystaje do obiektywnej oceny wartości życia roślin i zwierząt. W łańcuchu pokarmowym naszej planety organizmy roślinne mają taką samą wartość jak organizmy zwierzęce, gdyż każda forma życia jest jedyna w swoim rodzaju, a światy roślin i zwierząt ściśle od siebie zależą. Tę egzystencjalną relację określa fakt, że rośliny są pokarmem dla roślinożerców, jednak nie możemy zapominać, że organizmy roślinne żywią się związkami chemicznymi uwalnianymi do gleby w procesie rozkładu ciał zwierząt po ich śmierci. Opisane zjawisko stanowi podstawę krążenia materii i energii w fenomenalnym łańcuchu ziemskiego życia.

Żywimy się życiem

Dość powiedzieć, że gdyby nie istniały rośliny, nie byłoby również zwierząt. Należy podkreślić, że rośliny opanowały zjawisko fotosyntezy. Rośliny potrafią zamieniać energię słoneczną w energię chemiczną związków organicznych, z wody i dwutlenku węgla wytwarzają glukozę, uwalniając tlen do atmosfery. To rośliny produkując tlen umożliwiają oddychanie zwierzętom, a magazynując energię słoneczną w strukturze swoich ciał stanowiących pokarm roślinożerców, umożliwiły powstanie królestwa zwierząt. Ewolucyjnie świat zwierząt jest wtórny wobec świata roślin. Dlatego pozbawienie etycznej wartości życia roślin, może być tylko przejawem ignorancji lub świadomej manipulacji ekologicznych ideologów. Zabijane rośliny nie posiadają miłego futerka, smutnych oczu, nie wokalizują odczuwania bodźców szkodliwych, więc nie budzą empatii wegetarian. Zawężanie możliwości odczuwania bodźców szkodliwych wyłącznie do świata zwierząt, świadczy o błędnym postrzeganiu praw rządzących przyrodą lub brakiem elementarnych podstaw nauki stworzonej przez Ernesta Haeckel'a. Jest to klasyczny przykład tzw. uczonoj niewiedzy (łac. *docta ignorantia*). Aby przełożyć wyjaśnienie tego fundamentalnego światopoglądowego problemu na zrozumiały codzienny język, przytoczę cytaty z bestselleru amerykańskiej pisarki Bonnie Garmus, zatytułowanego „Lekcje chemii”.

„Podczas gdy mięso skwierczało, wyjęła z kieszeni fartucha kopertę.

– W oczekiwaniu na usmażenie chciałabym podzielić się z wami listem, który otrzymałam od Nanette Harrison z Tong Beach. Nanette pisze: «Szanowna pani Zott, jestem wegetarianką. Nie z przyczyn religijnych; po prostu uważam, że to nieładnie zjadać coś, co żyje. Mój mąż mówi, że nasze ciała potrzebują mięsa i że postępuję głupio, ale przejmuję mnie bólem myśli, że jakieś zwierzę oddało za mnie życie. Jezus też tak zrobił i proszę zobaczyć, co mu z tego przyszło. Z poważaniem, pani Nanette Harrison, Long Beach, Kalifornia».

Nanette, poruszyłaś interesującą kwestię – ciągnęła Elizabeth. – To, co jemy, ma konsekwencje dla innych istot żywych. Ale rośliny to też istoty żywe, a jednak rzadko zastanawiamy się nad tym, że wciąż jeszcze żyją, kiedy siekamy je na kawałki, miażdżymy zębami, wtłaczamy je do przełyków i wreszcie trawimy w żołądkach pełnych kwasu chlorowodorowego. Mówiąc krótko, podziwiam cię, Nanette. Myślisz, zanim coś zjesz. Nie daj się jednak zwieść; mimo wszystko nadal odbierasz innym istotom życie, aby podtrzymać swoje. Nie da się tego uniknąć. Co zaś do Jezusa: bez komentarza. – Obróciła się, dźgnęła stek, podniosła go z patelni, tak że jął ociekać krwistoczerwonym sosem własnym, i popatrzyła prosto w obiektyw kamery.”

Cyt. z „Lekcje chemii” aut. Bonnie Garmus, str. 342, tytuł oryginału „Lessons in Chemistry”, Wydawnictwo Marginesy Sp. z o.o., ul. Mierosławskiego 11A, 01-527 Warszawa 2022.



Powrót bagnetu

Tekst: Jacek Seniów
Zdjęcia: Westley Richards

Początek XX wieku przyniósł popularność sztucerów powtarzalnych, zwanych powszechnie repetierami. Niestety, wiązała się z nimi – w stosunku do dubeltówek i sztucerów pojedynczych oraz dubeltowych – pewna niedogodność, dająca znać o sobie w podróży. Była to długość broni, a tym samym futerału, który repetier zamieszkiwał.

Broń łamana, dubeltówki i ekspresy, była bronią łatwo dającą się złożyć, co pozwalało na przewożenie jej w znacznie poręczniejszych opakowaniach. Pierwszą firmą, która podjęła się zadania rozwiązania tego problemu, był Westley Richards. Osada sztucera w miejscu spotkania się zamka z lufą została podzielona na dwie części, łączone na powrót za pomocą specjalnego bagnetu. Pomysł pozornie prosty wymagał przemysłowego opracowania konstrukcyjnego, pozwalającego za każdym razem absolutnie tak samo precyzyjnie złożyć obie części, aby czynność ich demontażu nie miała żadnego wpływu na celność broni.

Pierwsza konstrukcja, niejako eksperymentalna, dotyczyła zamka blokowego. Następnym krokiem był zamek klasycznego repetier. Wystający z przedniej części broni bagnet, służący połączeniu, był opatrzony dodatkowym zatrzaskiem kulowym na sprężynie, obsługiwany zewnętrzną dźwignią, umieszczoną z boku łoża. Był on wlutowywany na mosiądz i wymagał specjalnego kołnierza do jego produkcji. Dodatkowym elementem, zapewniającym precyzję powtarzalności łączenia, był doskonale znany nam z broni łamanej zatrzask systemu Anson-Deelay'a, mocujący w niej czółenko. Trzymając w jednej ręce część lufową, a w drugiej część zamkową, po odciągnięciu dźwigni zatrzasku kulowego, wystarczyło obie części broni przekręcić w stosunku do siebie, aby je złączyć lub rozłączyć. System ten zwiększał wagę broni o 2 uncje, czyli około 57 gramów, ale dawał wygodę jej łatwego, pewnego i bezpiecznego montażu.

W katalogu firmowym z 1938 roku, pod datą 17 maja, znalazłem adnotację, iż nie jest on obecnie wytwarzany i został zastąpiony systemem śrubowym, przy którym zachowano dźwignię Anson-Deelay'a. O co chodziło, dlaczego? W rusznikarstwie rozwiązanie konstrukcyjne zmienia się z dwóch powodów. Albo zastępuje się je nowym lepszym, albo – tak samo dobrym, lecz tańszym w produkcji. Pierwotne rozwiązania z reguły cechuje nie tylko błyskotliwość pomysłu, ale i pewna czerstwość wykonania, wymagająca niejednokrotnie większej zręczności i czasochłonności produkcji, a to wiąże się z jej większymi kosztami.

W tym wypadku kosztami, ale również jedynym możliwym słabym punktem konstrukcji było lutowanie na mosiądz i wspomniany kołnierz do formo-



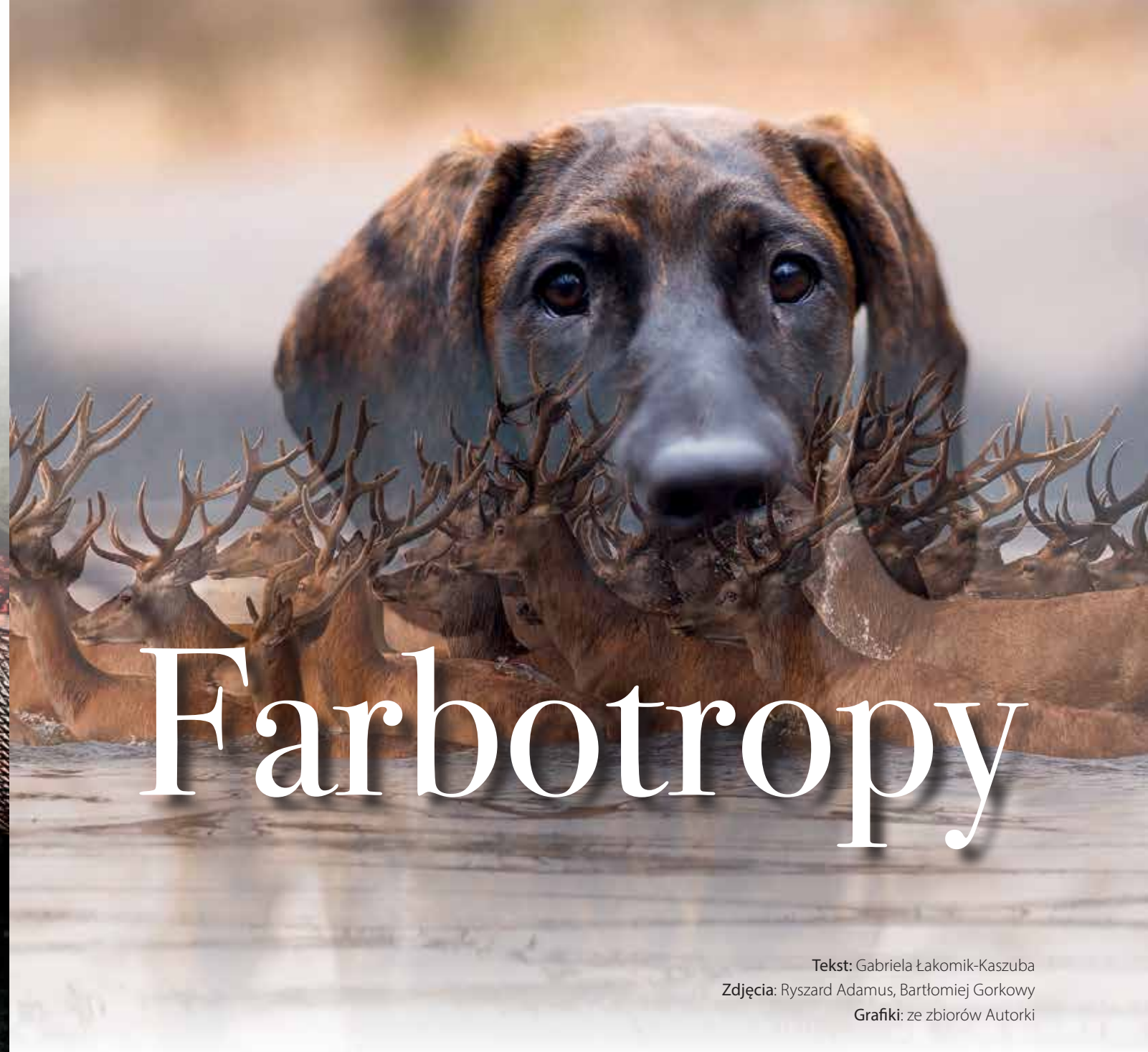
Zatrzask systemu Anson-Deelay'a

wania bagnetu oraz zatrask kulowy lokujący obie części. Kwestie te likwidował wprowadzony system śrubowy łączenia obu części broni. Myślę, że pewne zamiłowanie do kultywowania rozwiązań tradycyjnych, może w myśl zasady przewagi pierwszej myśli, a przede wszystkim postęp technologii obróbki oraz myśli technicznej, pozwoliły na powrót – po ponad osiemdziesięciu latach – do idei bagnetu. Likwidację ewentualnego słabego punktu konstrukcji, czyli lutowania i wspomnianego kołnierza.

Również likwidacja zatrasku kulowego przyniosła uproszczenie konstrukcji i jej potaniecie. Bagnetem łączącym obie części stał się koniec lufy, opatrzone dwoma stosownymi ryglami, mocującymi go w komorze zamkowej. Pozostało blokowanie dźwigni Anson-Deelay'a. W mojej opinii likwidacja

bocznej dźwigni zatrasku kulowego wprowadziła pewną wizualną czystość estetyczną kształtu sztucera. Blokowanie zatraskiem Anson-Deelay'a, oprócz funkcji czysto praktycznej, jest ciekawym i pięknym nawiązaniem do tradycji firmy. Wszak to fundamentalne dla broni myśliwskiej rozwiązanie jest jednym z jej najsłynniejszych patentów.

Nowy bagnet to jeden z przykładów ciągłości rozwoju myśli technicznej i technologicznej, pokazujący jak precyzja i logika „know-how” budowania broni inspirowana tradycją tworzy nową doskonałość. Wygodę i szybkość wykonania połączenia obu elementów podkreśla obecny szef produkcji firmy, Stuart Richards, zwracając uwagę na jego wytrzymałość oraz absolutne zachowanie precyzji strzału, bez względu na liczbę wykonanych złożów i rozłożeń sztucera.



Farbotropy

Tekst: Gabriela Łakomik-Kaszuba

Zdjęcia: Ryszard Adamus, Bartłomiej Gorkowy

Grafiki: ze zbiorów Autorki

Do psów najbardziej utalentowanych w podążaniu za tropem zwierzyny należą gończe. To najstarsza grupa psów myśliwskich, z których wyewoluowały psy ras kulturalnych – o wąskiej specjalizacji. Mistrzami w podążaniu po sfarbowanym tropie są posokowce, zwane w dawnej Polsce od profesji farbotropami.

Psy tropiące, goniące i osaczające zwierza były wszechstronnie wykorzystywane w myślistwie na dawnych ziemiach zamieszkiwanych przez Germanów. Różniły się między sobą dość znacznie w pokroju, a ich nazwy wywodziły się od krain występowania. Wygląd psów miał oczywiście znaczenie drugorzędne lub żadne. Miały być one przede wszystkim łatwo

dostępne, niekłopotliwe w hodowli i niezawodne. Psy pełniły zasadniczą rolę w czasach używania innej broni niż później wynaleziona broń palna. Bez ich pomocy w wyszukaniu, dogonieniu i osaczeniu dużego zwierza nie byłoby możliwe jego pozyskanie. Dawne gończe towarzyszyły konnym myśliwym i polowały liczną złąją.



Po wynalezieniu broni palnej rola psów gończych nieco się zmieniła. Nie przykładano już tak wielkiej roli do osaczenia i przytrzymania zwierzyny, myśliwy mógł ją trafić z dalszej odległości, nie narażając siebie i swoich czworonożnych towarzyszy na bezpośrednią konfrontację. Broń palna ewoluowała stopniowo, była coraz lepiej bijąca i celniejsza. Nie zlikwidowało to jednak ryzyka postrzału zwierzęcia, którego człowiek nie był w stanie odnaleźć. Zrodziło to potrzebę znalezienia sposobu na dojście do trafionej sztuki.

Niemiecko-austriacka specjalizacja

I tu z pomocą człowiekowi po raz kolejny przyszły psy gończe. Myśliwiec szybko zauważył, że jedno z nich

sprawnie podążają za zimnym tropem, a wpadając na ciepły trop, pilnie głośzą zwierza – z rozróżnieniem jego gatunku, a nawet płci. Były również takie, które pracowały wolniej, ale niezwykle dokładnie podążały sfarbowanym tropem. Uważni psiarczykowie (red: historyczne określenie sług myśliwych, którzy zajmowali się psami myśliwskimi) znali swoje psy i ich wyjątkowe predyspozycje. Drogą selekcji gończych-tropowców – zwanych z francuska limier, albo z angielska bloodhound – wyodrębnili te szczególnie wyczulone na farbę. Nazwano je Schweisshundami.

Praktyczne podejście niemieckich i austriackich myśliwych, którzy faworyzują psy raczej wielo- lub wszechstronne, tym razem przechyliło się na szalę

specjalizacji. Aby nie tracić cennych postrzałów (red: historyczne określenie zwierzy zranionych przez postrzelenie), zaczęli selekcjonować i doskonalić różne typy niemieckich gończych, nie unikając wybitnych nosów gończych ras francuskich, belgijskiego psa św. Huberta i jamników. Te ostatnie, obdarzone równie czułym powonieniem, dały posokowcom nieco niższe kończyny i wydłużone sylwetki.

Najlepsze nosy świata

Dziś, zgodnie z klasyfikacją Międzynarodowej Federacji Kynologicznej (FCI), do grupy VI należą psy gończe i posokowce. Do posokowców zaliczane są trzy rasy: posokowce bawarski i hanowerski oraz alpejski gończy krótkonożny.

nawróconego Huberta za świętego były najliczniej hodowane, rozeszły się po całej Europie, wtapiając się i uszlachetniając lokalne psy gończe – w tym naszego ogara i gończego. Dziś Chien de Saint Hubert jest znakiem firmowym belgijskiej kynologii, a jego wizerunek zdobi godło Societé Royale Saint-Hubert.

Farbotropy na ziemiach polskich

Wspomina o nich Wiktor Kozłowski (1821 i 1822 r.), pisząc o psach gończych: „[...] każdy z nich ma inne przeznaczenie w myślistwie i u Niemców osobne, właściwe sobie nazwisko nosi. Jedne z nich gonią za zwierzem, iego śladem postępując i zbierając nosem zapachy zostawione na ziemi..., drugie nazwane u Niemców Schweisshunde, przyuczone są



Choć bloodhounda w dzisiejszej systematyce nie zaliczamy do posokowców, to cieszy się on niekwestionowaną sławą najlepszego węchowca wśród psów. To pies o starym rodowodzie, w którego żyłach płynie krew najlepszych psów gończych Europy. Z pewnością jednym z nich był pies św. Huberta – patrona myśliwych. O randze bloodhoundziego nosa świadczy m.in. to, że w Stanach Zjednoczonych jego „zeznania węchowce” są uznawane za dowód w sądzie. Nazwa rasy jest synonimem psa czystej krwi lub, według innych źródeł, psa tropiącego po śladach krwi, czyli – jak dziś w języku myśliwskim nazwalibyśmy tę profesję – tropieniem po farbie. Bloodhoundy z ardeńskiego klasztoru, gdzie po uznaniu

gonić i łapać postrzelone zwierzęta”. W „Pierwszych początkach terminologii łowieckiej” autor stwierdza, że: „Schweisshund (farbotrop) idzie za postrzelonym zwierzem póty, póki myśliwemu nie ogłosi, gdzie się zwierz znajduje”, sugerując, że psy te były często oszczekiawcami.

„Sylwan” w 1829 roku publikuje również bardzo ciekawy artykuł Ernesta Buttlera, pełniącego funkcję zastępcy Nadleśnictwa Janów w Województwie Podlaskim, „O sposobie wprawiania pospolitego psa gończego na tropowca farbowego (Schweisshund)”. Bobiatyński (1823-1825) zowie je także farbotropami, a Walerian Kurowski w „Myślistwie w Polsce i na Litwie” z 1865 roku, za ks. Krzysztofem Klukiem, z nie-

miecka od ich zajęcia – Schweishundami. Określenia te były więc stosowane w XIX wieku wymiennie.

4 czerwca 1899 roku otwarto Pierwszą Warszawską Wystawę Łowiecką, podczas której w dziale psów przedstawiono 23 okazy używane do łowów, w tym tropowce i jamniko-gończe (początkowo zwane jamniko-ogarami, a dziś alpejczykami). Wielki złoty medal zdobył posokowiec hanowerski Wotan I, mały złoty Hela, a wielki srebrny jej córka Silva. Wszystkie trzy posokowce były własnością Stanisława ks. Lubomirskiego. Hanowera wystawił też Jan hr. Zamoyski z Podzamcza, otrzymując za niego mały srebrny medal. Pies wabił się Wotan II i był synem wielkiego zwycięzcy. Parę jamniko-gończych, jak wówczas zwano alpejskie gończe krótkonożne, pokazał Tomasz hr. Zamoyski. Psy wabiły się nieco przekornie Tik i Tak i zostały odznaczone listem pochwalnym. Wotan powtórzył swój sukces na I Warszawskiej Wystawie Psów 12 czerwca 1902 roku, urządzonej przez Warszawski Oddział Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa.

W 1903 roku cena za rocznego posokowca wynosiła 50 Rb. Hodowano je m.in. w Spale, w Zarządzie Cesarskich Polowań. Na początku XX wieku w Karpatach, w okolicach Skolego, i w rejonach podkarpackich polował z posokowcami Albert Mniszek, autor wielu ciekawych tekstów z dziedziny kynologii łowieckiej, publikowanych w galicyjskim „Łowcu”.

Na Pomorzu na rzecz użytkowych wyżłów, głównie ras niemieckich, działał wiceprezes Pomorskiej

Wojewódzkiej Rady Łowieckiej PZŁ, dr Jan Syrwind-Łukowicz z Chojnic. Był właścicielem bardzo dobrze pracującego posokowca hanowerskiego. Właśnie tam psy ras niemieckich były najbardziej popularne i użytkowane w łowiectwie.

Nie sposób nie wspomnieć o przyjacielu dr. Łukowicza – Leonie Ossowskim, wielkim hodowcy i znawcy posokowców z Komierowa na Pomorzu. Jego praca pt. „Posokowce” z 1935 roku była przez wiele lat jedyną monografią rasy i w 1996 roku doczekała się nawet reprintu. Jako ciekawostkę i dowód na otwarty umysł oraz doskonałą praktykę Ossowskiego, należy przytoczyć fakt, że proponował on – ze względu na niewielką liczbę posokowców, zarówno hanowerskich, jak i bawarskich w Polsce – wykorzystanie do poszukiwania postrzałków naszych rodzimych psów gończych, których węch oceniał bardzo wysoko.

W latach 30. XX wieku było w Polsce około 20 sztuk czystej krwi posokowców, głównie hanowerskich. Jednym z nich był pięcioletni, pierwszorzędnny hanover, Sascha vom Grünen Grund, nabyty przez członka Pomorskiego Towarzystwa Łowieckiego, Romana Kentzera z Pruskiej Łąki, za horrendalną sumę 1000 RM.

Najwięcej psów posiadał Zarząd Leśny Księstwa Pszczyńskiego w Pszczynie. Były one wówczas słynne nie tylko w Polsce. W pszczyńskich lasach posokowce dokonywały prawie niemożliwych doświadczeń postrzałków. Na polowania w Pszczynie i w okolicach przybywali liczni goście zagraniczni, m.in. z Niemiec i Austrii,

uczestnicząc w wielkich polowaniach na zwierzynę rochmanną (red.: historyczne określenie na zwierzęta leśne, które są płochliwe, ale możliwe do oswojenia, czyli dzisiejsza zwierzyna płowa).

Cenny podarunek

Prezydent myśliwy, Ignacy Mościcki, w rewanżu za zaproszenie i udane polowanie w Białowieży w lutym 1937 roku, otrzymał od marszałka III Rzeszy, Hermana Goeringa, posokowca hanowerskiego o wybitnych zaletach, Wahrtoo vom Feuerstein. Goering, pełniący wówczas funkcję Wielkiego Łowczego III Rzeszy, bardzo cenił posokowce, wydał nawet specjalne zarządzenie o obowiązku posiadania posokowca w każdym łowisku, w którym polowano na jelenie. Minimalizowało to utratę cennych postrzałków, ale utrudniało zakup dobrych psów. Te najbardziej utalentowane nie były liczne i, niestety, pozostawały bardzo drogie. Portret Warthoo ozdobił okładkę przedwojennego miesięcznika „Mój Pies”.

Tuż przed II wojną światową mieliśmy w Polsce cztery znane gniazda posokowców: w Białowieży, gdzie wykorzystywany był prezydencki reproduktor, w Komierowie hodowla Leona Ossowskiego, w woj. poznańskim i w Karpatach Wschodnich. W okolicach Lwowa i w Małopolsce wykorzystywano sprowadzone z Austrii alpejczyki. Nie było ich jednak wiele. Miłośnikiem alpejczyków był dr Jan Zduń.

Wybitny pomocnik myśliwego

Posokowce pracują głównie dolnym wiatrem, ale przy poszukiwaniu postrzałków zwierzyny grubej, które są w stanie odnaleźć nawet po kilku dniach, wykorzystują również wiatr półgórny i rzadziej górny. W trakcie pracy na tropie posokowiec pracuje głównie dolnym wiatrem i tego oczekujemy po nim podczas konkursów posokowców. W realnej pracy przy poszukiwaniu postrzałka, szczególnie w trudnym terenie górskim, posokowiec posługuje się również naprzemiennie półgórnym wiatrem. Wybiera ten zapachowy ślad, który w danym momencie jest dla niego najsilniejszy. W miarę zbliżania się do zwierzyny posokowiec może pracować krótko również górnym wiatrem (w sytuacji, kiedy wiatr wieje od zwierzyny). Pies pracuje w trakcie dochodzenia postrzałków, wyłapując cząsteczki zapachowe pozostawione przez zwierza na trawach, trzcinach, pniach drzew (farba). Porusza się w tzw. tunelu zapachowym i pracuje na tropie osobniczym. Może się chwilowo wspomagać nietypowymi śladami zapachowymi, które nie muszą pochodzić bezpośrednio od uchodzącego zwierzęcia (np. zapach błota wyniesionego na rapetach lub sukni dzika). Kiedy pies zbliża się do łoża, może również przez chwilę

pracować górnym wiatrem. Doświadczony posokowiec potrafi ocenić po śladach zapachowych stan zwierzyny, tj. czy żyje, czy jest martwy, w jakiej jest kondycji. Jeżeli żyje, czy jest potencjalnie niebezpieczny. Przewodnik znający swego psa, potrafi po sposobie jego zachowania właściwie go czytać, rozpoznać sytuację i ją odpowiednio ocenić. Dobry posokowiec potrafi wytrwale gonić i stanowić zwierzę. Wyśmienity węch zapewnia posokowcom pracę również w innych zawodach zastępczych, m.in. przy poszukiwaniu osób zaginionych, materiałów wybuchowych, pracy na gruzowiskach, poszukiwaniu narkotyków, a także zwierząt poszkodowanych w wypadkach komunikacyjnych, co w związku z dużą liczbą dzików i jeleni zdarza się ostatnio coraz częściej. Nasi bohaterowie świetni są również w odnajdywaniu dzików padłych w wyniku ASF-u.

Polska specjalność

Zarówno posokowce, jak i alpejczyki, ze względu na wybitne walory użytkowe, hodowane są w kraju pochodzenia rasy oraz w innych krajach, głównie przez myśliwych, leśników i straż łowiecką. W Polsce, w ciągu ostatnich 25 lat, posokowce bawarskie zdo-



były niespotykaną popularność i często ze względu na swoją urodę kupowane są jako psy towarzyszące. Prawdą jest, że polskie bawarczyki są często wyjątkowo urodziwe, o czym świadczą ich sukcesy na wystawach światowych i europejskich, które często wygrywają. Psy z polskimi rodowodami są też często kupowane do hodowli na całym świecie. Należałoby zadać sobie pytanie, czy to właściwy trend. Czy aby na pewno warto wybierać wędrowca specjalistę na psa jedynie do towarzystwa? Niestety, nie zawsze współżycie na co dzień układa się bezkonfliktowo, zwłaszcza jeśli nie jesteśmy od początku konsekwentni w nauce i egzekwowaniu przywołania oraz nie mamy ochoty na regularną aktywność, niezbędną do bezkonfliktowej egzystencji z posokowcem. Posokowiec posokowcowi nie równy i sama nazwa rasy jeszcze nie świadczy o jego przydatności do pracy. Jak w każdej innej rasie są psy mniej lub bardziej w swej profesji utalentowane. Jeśli chcemy mieć naprawdę dobrego psa pracującego, szukajmy szczeniąt po przodkach pracujących nie tylko w pierwszym pokoleniu.

Rasowe smaczki

Koneserzy zwrócą z pewnością uwagę na kilka cech właściwych posokowcom. W krajach, w których kluby posokowców mają w swoim składzie specjalnych doradców hodowlanych (np. Austria, Czechy, Niemcy, Słowacja), są to elementy ważne, których nie da się pominąć przy kojarzeniu par i kwalifikacji do hodowli najlepszych psów.

Cechą zaznaczoną we wzorcu jest linia grzbietu lekko wznosząca się od kłębu do zadu. Dziś nieco rzadziej spotykamy ją u posokowca bawarskiego, ale częstokroć występuje u posokowca hanowerskiego, podobnie jak maść pręgowana. Sylwetka nie może być zbyt krótka i wysokonożna – to nietypowe dla obu odmian, nie mówiąc już o alpejczyku, którego cechą szczególną są niezbyt długie kończyny i wyraźnie wydłużone ciało. U wszystkich omawianych ras harmonia przodu i tyłu zapewnia możliwość długiej pracy, co trzeba podkreślić bez zmęczenia. Nie bez znaczenia pozostaje długość szyi. Nie powinna być zbyt krótka, gruba i wciśnięta w łopatki – taka przeszkadza w pracy podczas podążania po tropie i powoduje, że pies pochylając całą przednią część ciała szybciej się męczy. Zbyt długa i nazbyt „elegancka” cienka szyja również nie stanowi zalety. W przypadku alpejskich gończych krótkonożnych, które szturmem zdobywają serca również polskich myśliwych, ważna jest lekko wydłużona sylwetka, z dobrze i daleko ożebrowaną klatką piersiową, aby zapewnić odpowiednią przestrzeń dla serca i płuc. Psy te mają

również odpowiednią szerokość, co zapewnia im dobrą pracę w trudnym górskim terenie, pełnym wykrotów, wzniesień i gęstego podszytu. Pomimo niewielkiego wzrostu, świetnie pracują we wszystkich porach roku, a mróz i okiść nie są im straszne. Ich pasja do pracy jest wprost zdumiewająca.

Do pracy po tropie używamy specjalnej, szerokiej obroży tropowej (tylko do tej czynności). Jest ona zaopatrzona w krętlik, zapobiegający skręcaniu się otoku, który kiedyś, aby nie uciskać gardła psa, przeciągany był pod tułowiem – między przednimi i tylnymi nogami.

Dziś obrożę tropową często zastępują specjalne szelki tropowe. Ponieważ tropowce pracują często w trudnych warunkach terenowych i pogodowych, ich włos powinien być odpowiednio twardy (z wyjątkiem głowy i uszu), a zimą dobrze podszyty. Nie powinny być też (z wyjątkiem alpejczyka) nadmiernie krótkonożne. Posokowce, choć przyciągające wzrok, nie muszą być nadmiernie wyrafinowane w budowie i wyrazie. To psy pracujące i wysoce wyspecjalizowane. I takimi powinny pozostać. Najważniejsze w ich ocenie zawsze powinny być cechy wpływające na pracę.

Gdzie pytać o radę?

Obecnie w Polsce działają trzy kluby dedykowane psom tropiącym po farbie. W strukturach Związku Kynologicznego w Polsce – Klub Posokowców i Alpejskich Gończych Krótkonożnych Komisja ZG ZKwP, pod przewodnictwem Jakuba Rudzińskiego, z siedzibą w Piotrkowie Trybunalskim i Klub Posokowca PZŁ – członek ISHV (Internationale Schweißhundverband) z przewodniczącym Maciejem Kopciem, a także Klub Alpejskiego Gończego Krótkonożnego PZŁ pod wodzą Jacka Pokorskiego.

Polskie posokowce po II wojnie światowej stały się dość liczne i poszukiwane, zarówno ze względu na urodę, jak i na wybitne wartości użytkowe. Pod względem liczebności w rejestrach Związku Kynologicznego przodują posokowce bawarskie, które znajdują się na drugim miejscu wśród psów z VI grupy FCI i ustępują jedynie gończym polskim. Zdecydowanie mniej liczne są posokowce hanowerskie i alpejskie gończe krótkonożne, choć te ostatnie zyskują na popularności. Urządzamy dla nich coroczne wystawy klubowe, próby i konkursy, a nawet specjalny memoriał wielkiego admiratora i znawcy rasy, ks. Benedykta Gierszewskiego, ale to już temat na zupełnie inną opowieść.

Dziękuję p. Wojciechowi Galwasowi za życzliwe uwagi. Tekst na podstawie artykułu opublikowanego w „Braci Łowieckiej” 10/2020



Międzynarodowy Zakon św. Huberta

Tekst: Witold Daniłowicz
Zdjęcia: Witold Daniłowicz, Władysław Ronikier

Drogi historii bywają zawile, a nawet przewrotne i nie wykluczone, że w tym tkwi jeden z jej wielkich uroków. O przedstawienie meandrow historii zakonu św. Huberta, założonego przez hrabiego Franciszka Antoniego von Sporcka, zwróciliśmy się do dr. Witolda Daniłowicza, Wielkiego Przeora polskiego oddziału Międzynarodowego Zakonu św. Huberta.

Zakon św. Huberta został założony w 1695 roku przez hrabiego Franciszka Antoniego von Sporcka w majątku rodzinnym w miejscowości Lissan an der Elbe (dzisiaj: Lysá nad Labem). Miasteczko to jest położone w Czechach, które wówczas były częścią Austrii. Ojciec hrabiego, generał hr. Johann von Sporck, otrzymał ten majątek od cesarza Ferdynanda III wraz z tytułem szlacheckim za wybitne zasługi w czasie wojny trzydziestoletniej. Piękny pałac, który tam zbudował, zachował się do dzisiaj. W skład majątku wchodziły wspaniałe tereny łowieckie, na których jego najstarszy syn, hr. Franciszek Antoni, urządzał polowania dla siebie, swoich przyjaciół i zaproszonych gości.

Trzeba podkreślić, że w drugiej połowie XIX wieku polowania wyglądały zupełnie inaczej niż dzisiaj. Polowano zasadniczo na trzy sposoby. Przede wszystkim były to tradycyjne polowania konne na zwierzynę grubą, głównie jelenie, która wcześniej była otropiona (red.: zwierzyna, której trop został odnaleziony i zidentyfikowany) przez służby łowieckie. Drugim rodzajem polowań były polowania z sokołami. Kolejnym – polowania w zwierzyńcach, czyli ogrodzonych terenach, gdzie zwierzyna była przepędzana przed myśliwymi, stojącymi na specjalnie przygotowanych podwyższeniach albo w pawilonach.

Hrabia Franciszek Antoni wprowadził w swoim majątku polowania nowego typu – polowania *par force*. Polowano nadal konno, nowością było jednak to, że zwierzyna nie była wcześniej otropiona. Łowcy ruszali na polowanie wraz ze sforą psów, które musiały najpierw zwierzynę wytropić, po czym następowała gonitwa. Jeźdźcy podążali za złąją (red.: kilka sfor ogarów lub większa grupa dzikarzy). Z polowaniami *par force* von Sporck zetknął się po raz pierwszy na dworze króla Ludwika XIV we Francji. Zainspirowany tym rodzajem polowań postanowił rozpropagować je w swojej ojczyźnie.

Powołanie zakonu św. Huberta miało służyć między innymi upowszechnieniu polowań *par force*. Hrabia von Sporck uważał je za bardziej etyczne. W stosunku do tradycyjnych polowań konnych wymagały one od uczestników znacznie większego wysiłku. Natomiast w porównaniu z polowaniami w zwierzyńcach, istotnie redukowało liczbę pozyskanej zwierzyny, a przy tym eliminowały możliwość ujęcia rannych sztuk. Pod tym względem założyciel zakonu miał niewątpliwie dużo racji, biorąc pod uwagę to, że w trakcie polowań w zwierzyńcach pozyskiwano czasami wręcz absurdalną liczbę zwierząt, a jeszcze więcej ich raniono.

Dla założyciela zakonu duże znaczenie miały kwestie etyczne. I to nie tylko w kontekście łowieckim. Świadczy o tym fragment jego listu z 1737 roku do ks. Hieronima Floriana Radziwiłła: „Obowiązki zakonu polegają na tym, by pośród przyjemności myśliwskich nie zapominać o powinnościach, do których wzywa nas miłość bliźniego”.

Członkowie zakonu wywodzili się wyłącznie z warstwy szlacheckiej, a właściwie arystokracji, co jest o tyle zrozumiałe, że tylko oni posiadali tereny łowieckie. Aby mogli być uznani za godnych członkostwa, musieli nie tylko wykazać się umiejętnościami myśliwskimi i przestrzeganiem etyki łowieckiej, ale także zarządzać nimi w sposób, który dziś nazwalibyśmy zrównoważonym lub racjonalnym.

Niestety, nie zachowała się pełna lista członków zakonu św. Huberta, a więc osób, które otrzymały od hrabiego von Sporcka ustanowiony przez niego order. Mimo to, udało się ustalić nazwiska kilkudziesięciu z nich. Większość należała do ówczesnej elity Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego, zwłaszcza do rodziny Habsburgów, której przedstawiciele przez prawie 400 lat zasiadali na tronie cesarskim. Order cieszył się wysokim prestiżem wśród szlachty czeskiej, bawarskiej, saskiej, śląskiej i polskiej. Jednym z jego kawalerów był wspomniany wyżej ks. Hieronim Florian Radziwiłł, który polował kilkakrotnie w dobrach hr. von Sporcka. Członkami zakonu byli także królowie polscy z saskiej dynastii Wettynów – August II i August III, a także żona Augusta III, arcyksiężna austriacka Maria Józefa. Była jedną z wielu kobiet, które dostąpiły tego zaszczytu.

O działalności zakonu nie wiemy zbyt wiele. Wydaje się, że nie była to sformalizowana organizacja typu dzisiejszych stowarzyszeń. Hrabia von Sporck ustanowił pamiątkowy order, który przyznawał osobom, które uważał za godne tego zaszczytu. Miał on kształt owalnego medalionu z wizerunkiem św. Huberta i był zawieszony na złotym łańcuszku, przypiętym do czerwonej wstążki. Pod medalionem podwieszony był, również na złotym łańcuszku, mały róg myśliwski używany podczas polowań *par force*. Zakon tworzyli wszyscy kawalerowie i damy orderu. Jego założyciel był pierwszym i, jak się miało okazać, jedynym Wielkim Mistrzem Zakonu.

Hrabia von Sporck ustalił też regułę zakonną, czyli zbiór zasad, którymi powinni kierować się jego członkowie. Mieli oni wiele obowiązków, m.in. powinni przynajmniej raz w tygodniu brać udział we mszy świętej. W miarę możliwości powinni także uczestniczyć w polowaniu *par force*, urządzanym corocznie w Lisse przez Wielkiego Mistrza, w dniu patrona zakonu, tj. 3 listopada. Ci, którzy nie mogli przybyć, zobowiązani byli do zorganizowania takich polowań

w swoich dobrach. Wszystkie obowiązki były ujęte w trzydziestu punktach – tzw. Wielkich Regulach Zakonu, spisanych przez jego założyciela wierszem. Oprócz obowiązków członkowskich, zawierały one regulamin polowań, spis sygnałów łowieckich, okresy ochronne zwierzyny, a także opis zwyczajów łowieckich z wykazem kary za ich naruszenie.

Wielki Mistrz zmarł w 1738 roku. Spadkobiercą hr. von Sporcka został jego zięć i adoptowany syn, Franz Karl Rudolf hr. Swéerts-Sporck. Niestety, nie był on specjalnie zainteresowany myślistwem i szybko zaniechał organizowania polowań *par force* w dobrach rodzinnych. W rezultacie, w ciągu kilku zaledwie lat po śmierci pierwszego i zarazem ostatniego Wielkiego Mistrza, zakon przestał de facto istnieć.

W tym miejscu warto wspomnieć o ciekawej historii odtworzenia zakonu założonego przez hr. von Sporcka. Wydarzenie to miało miejsce 10 maja 1950 roku w Wiedniu. Inicjatorem był Austriak, dr Albert Frank Messany, myśliwy i autor wielu publikacji na tematy łowieckie. Otrzymał on wsparcie dla tej inicjatywy zarówno od rządu austriackiego, jak i amerykańskich oraz brytyjskich władz okupacyjnych. Zakon został przez niego odtworzony pod zmienioną nazwą – Międzynarodowy Zakon św. Huberta. Nowa nazwa ma podkreślać światowy zakres jego działalności. Doktor Massany został jego pierwszym Wielkim Mistrzem. Dzisiaj funkcję tę pełni wnuk ostatniego cesarza Austrii, Karola I, arcyksiążę István von Habsburg-Lothringen. Opiekunem zakonu jest były król Hiszpanii Juan Carlos I.

Zakon zrzesza około 1400 pasjonatów łowiectwa i wędkarstwa, których celem jest wspieranie i upowszechnianie etycznego myślistwa i wędkarstwa, ochrony zwierzyny i jej siedlisk oraz środowiska. Znajduje to wyraz w jego dewizie: *Deum Diligite Animalia Diligentes* – Miłujcie Boga, szanując Jego stworzenia. Członkowie mają obowiązek dbania o zachowanie i przestrzeganie tradycji, zwyczajów i ceremoniałów łowieckich. Kawalerem zakonu można zostać tylko na zaproszenie, mając poparcie co najmniej dwóch kawalerów jako wprowadzających.

Zakon ma swoje oddziały narodowe, zwane wielkimi przeoratami albo baliwatami, w: Austrii, Belgii, Wielkiej Brytanii, Hiszpanii, Portugalii, Holandii, Niemczech, Rumunii, Szwajcarii i w Luksemburgu, a także we Francji i we Włoszech. Poza Europą zakon jest obecny w Stanach Zjednoczonych, Meksyku, Kanadzie i w Argentynie.

Od niedawna Międzynarodowy Zakon św. Huberta ma też swój oddział w Polsce – Wielki Przeorat Polska, liczący siedmiu członków. Historia jego powstania jest stosunkowo prosta. Otóż kilka lat temu, mój austriacki przyjaciel po strzelbie opowiedział



Mistrz ceremonii Rainer Schöberl (z lewej) i Autor odczytują modlitwę wiernych w czasie mszy świętej przed przyjęciem nowych członków do polskiego oddziału

mi o Zakonie oraz zaproponował wzięcie udziału, w charakterze gościa, w ceremonii upamiętniającej jego odtworzenie, połączonej z inwestyturą, tj. przyjęciem nowych członków. Miała ona miejsce w opactwie benedyktynów w Heiligenkreuz pod Wiedniem. Oczywiście chętnie przystałem na tę propozycję. Uroczystość zrobiła na mnie duże wrażenie. Poznałem też wiele ciekawych osób.

W trakcie uroczystej kolacji, kończącej to wydarzenie, miałem okazję porozmawiać z Wielkim Mistrzem, który zaproponował mi stworzenie oddziału narodowego zakonu w Polsce. Na kolejnej uroczystości, tym razem w Cortina d'Ampezzo we Włoszech, zostałem pasowany na kawalera zakonu. Tam też przedstawiłem Wielkiej Kapitułce Zakonu swoją koncepcję osobową i organizacyjną nowego polskiego oddziału. Została ona przyjęta i w rezultacie powierzono mi funkcję Wielkiego Przeora tworzącego się przeoratu.

Następnym krokiem było przyjęcie sześciu nowych kandydatów, tak aby nasz polski oddział osią-

gnął minimalną liczbę siedmiu członków. Stosowna ceremonia odbyła się w grudniu ubiegłego roku w Warszawie, w kaplicy kościoła dominikanów pw. św. Jacka na Starym Mieście. Sześciu kolegów złożyło uroczyste przyrzeczenie, po czym zostali przyjęci do zakonu jako giermkowie – Cezary Andruszewski, Adam Benedykt Bisping, Bohdan Chmielarski, Łukasz Ochman, Juan de Porras i Michał Wierzbowski. Wkrótce będą mogli być pasowani na kawalerów. W ceremonii wziął udział kanclerz zakonu oraz czterech innych kawalerów z Austrii, Niemiec i Francji.

Tu zaczynają się najciekawsze meandry historii zakonu. Mówiąc o odtworzeniu zakonu założonego przez hr. von Sporcka, trzeba dodać, że jest ona bardziej skomplikowana. Otóż to dziedzictwo hr. von Sporcka było inspiracją również dla innej, podobnej inicjatywy. W dniu św. Huberta w 1978 roku, a więc jeszcze w czasach komunistycznych, grupa czeskich myśliwych podpisała akt odnowienia zakonu założo-

nego przez hr. von Sporcka. Miało to miejsce w miejscowości Kuks, w której hrabia zbudował piękny pałac z przeznaczeniem na szpital dla weteranów wojennych. Tam też został pochowany. Zakon ten udało się oficjalnie zarejestrować, jednak dopiero w 1992 roku, a więc już po upadku poprzedniego ustroju w Czechach. Działa bardzo aktywnie, ma nawet swój oddział polski, zwany Komendą Polską.

Według mojej wiedzy, oba zakony, nawiązujące do tradycji hr. von Sporcka, utrzymują ze sobą kontakty na najwyższym szczeblu. Po powstaniu naszego polskiego przeoratu pojawiła się możliwość nawiązania współpracy także na szczeblu krajowym. Byłoby to całkiem naturalne, jako że oba zakony odwołują się do tej samej tradycji i wyznają te same wartości.

Nowo przyjęci giermkowie (od lewej): Michał Wierzbowski, Adam Bisping, Juan de Porras, Bohdan Chmielarski, Cezary Andruszewski, Łukasz Ochman wraz z kawalerami Zakonu (od lewej): Rainer Schöberl z Austrii, Dirk Precht z Niemiec, kanclerz Zakonu Lothar Sause z Niemiec i Antoine-Emmanuel du Bourg de Bozas z Francji





Łowieckie pasje Gryfitów

Autor: Bartosz Klótko

Zdjęcia eksponatów: ze zbiorów Zamku Książąt Pomorskich w Szczecinie

Grafiki: ze zbiorów Gabrieli Łakomik-Kaszuby

Pierwodruk: „Łowiec Polski”, nr 2/2026

Miłośnikom historii łowiectwa na naszych ziemiach stosunkowo dobrze znane są epizody myśliwskie z życia koronowanych głów i magnaterii. Wiele napisano o łowieckich pasjach oraz przygodach Piastów i Jagiellonów. Pośród pierwszych władców Polski za jednego z najdzielniejszych myśliwych uchodził Bolesław Krzywousty, który wedle przekazu Galla Anonima, już w wieku pacholęcym miał samowtór upolować groźnego odyńca. Władysław Jagiełło zastąpił zaś organizacją wielkich łowów w celu zgromadzenia zapasów na wojnę z Zakonem Krzyżackim. Znane i szeroko opracowane w literaturze i sztuce, w tym nawet filmowej, są łowieckie wątki z życia monarchów, wywodzących się także z innych dynastii – Bony Sforzy (upadek królowej z konia w wyniku incydentu z niedźwiedziem w Niepołomicach w 1527 roku), króla Stefana Batorego herbu Wilcze Kły – wielkiego miłośni-

ka polowań, czy też przedstawicieli saskiej dynastii Wettynów (niechlubne ze współczesnego punktu widzenia rzezie urządzone z altan).

A co wiemy o łowieckich pasjach Gryfitów – dynastii o słowiańskim rodowodzie, władającej Pomorzem przez blisko sześć stuleci?

Zapalczywi i uparci

Podobnie jak w przypadku innych dynastii, panujących w różnych częściach Europy, ród pieczętujący się tajemniczym Gryfem wydał wielu zapalonych myśliwych, a łowiectwo stanowiło ważny element dworskiej kultury pomorskich książąt. O charakterności i zapalczywości w łowach pomorskich władców mogą świadczyć obrażenia, jakich nierzadko doznawali, zazwyczaj polując konno i w bezpośrednim starciu z grubą zwierzyną. Aż trzech Gryfitów straciło oko podczas polowania lub posługiwania się bronią. A byli to: Warcisław VI – zwany Jednookim,

Bogusław XIV – jego lewe oko uciepować miało wskutek niefortunnego wystrzału z pistoletu, a także Jerzy I.

W starciach ze zwierzem poważnie poszkodowani zostali: Filip I, raniony przez dziką, a także Bogusław X Wielki, ten z kolei został ugodzony porożem byka jelenia szlachetnego. W obu przypadkach książęta ledwo uszli z życiem. Przypadek Bogusława X jest o tyle szczególny, że pokazuje niezwykle hart ducha pomorskiego władcy. Przetransportowany do zamku z płucem przebitym jelenim porożem kazał się on posadzić w fotelu i podjął brandenburskich posłów, ukrywając przed nimi oznaki słabości. Wynikało to z faktu, iż na mocy zawartych układów, w razie bezpotomnej śmierci Pomorzanina, księstwo przejść miało we władanie Hohenzollernów, na co wizytujący po cichu liczyli, usłyszawszy wprzód o wypadku. Twardy Pomorzanin nie dał im jednak tej satysfakcji. Po odprawieniu gości co prawda stracił przytomność,

ale wypadek przeżył i Pomorza nie oddał. Dochował się ośmiorga potomków, a Księstwo Pomorskie zachowało suwerenność.

Pamiętkę innego, wcześniejszego chronologicznie, bo trzynastowiecznego wydarzenia, mającego także miejsce w czasie polowania, stanowi tzw. Krzyż Barnima, znajdujący się po dziś dzień w Puszczy Wkrzańskiej, na granicy polsko-niemieckiej, w pobliżu miejscowości Dobieszczyń – dziś polują tam myśliwi z koła łowieckiego Jeleń Szczecin. Kamień z wyrytym na nim napisem i trudnymi już dziś do odcyfrowania znakami – być może pokutnymi – ma oznaczać miejsce, w którym, według przekazu kronikarza Kantzowa, Barnim II został zabity na polowaniu przez rycerza Widantę, zazdrosnego o żonę Adelę.

Być może niektórym zapalczywościom łowieckim kres zadały ustawy zawierające przepisy łowieckie, wprowadzone przez Filipa II w 1613 roku.



Myśliwskie rezydencje

Szczecin, będący stolicą dawnego księstwa, otaczają atrakcyjne łowiecko obszar.

Do ulubionych terenów łowieckich Gryfitów należały: Wyspa Pucka, leżąca w widłach Odry Zachodniej i Regalicy, dziś znajduje się na niej jeden z obwodów dzierżawionych przez koło łowieckie Głowacz ze Szczecina, a także duże kompleksy leśne, mające status puszczy, o które obecnie opierają się granice administracyjne miasta – Puszcza Wkrzańska, Bukowa i Goleniowska, dziś gospodarują na ich obszarach koła łowieckie: Jeleń i Bór Szczecin, Orzeł Smerdnica oraz Leśnik Kliniska.

Podążając za modą epoki, Jan Fryderyk, by móc przedłużyć miły jego książęcej mości pobyt na polowaniu, wybudował w Podlesiu pierwszą rezydencję myśliwską. Miało to miejsce na przełomie lat 70. i 80. XVI wieku. Było to założenie drewniane, ale zadziwiające gości innowacjami i rozmachem, m.in. wieloma pomieszczeniami mieszkalnymi, stawami zasilanymi wodą z łososiowej rzeki Iny, fosami, ogrodami, a nawet pomostem, po którym można było wjechać konno na piętro budynku. Podobno w budowie doradzał marszałek dworu i podkomorzy Peter Kamecke. Należy przypuszczać, że nie był to więc skromny zameczek myśliwski, a raczej duży puszczański folwark, zamieszkały stale przez dużą liczbę chłopów i służby. Poza tym uwagę zwracał osobny magazyn myśliwski (cekhauz – zbrojownia) i wielka liczba stajni, kuźnia, dom wartowników, a nawet pralnia książęcej, pracownia krawiecka oraz karczma. O powierzchni między budynkami świadczy opis dwóch podwórców, na których wieloma powozami naraz obrócić można.

Z relacji Augsburczyka, Filipa Hainhofera, pochodzącej z 1617 roku, wiemy, że w głównej części rezydencji znajdowała się Wielka Sala z kominkami, w której przechowywano wyposażenie myśliwskie i ekspozycję jelenich poroży. Ściany zdobiły też obrazy i gobeliny, zapewne ze scenami myśliwskimi. Ponadto z opisów Hainhofera wynika, że jedna z komnat na parterze nosiła miano Komnaty Jelenia, a apartament księcia mieścił się na środkowym piętrze i przylegała do niego rotunda z kaplicą – tak, że książę chorym będąc, kazania u siebie mógł słuchać. Na piętrze książęcy wspomniany gość odnalazł salę jadalną także pięknymi wielkimi porożami zdobioną. Znanne opisy sporządzone przez wyżej wymienionego Augsburczyka, ale także Joachima von Wedla, dostarczają ciekawych wiadomości dotyczących wyposażenia pałacyku. Należały do niego dwa stoły łowieckie – jeden został szczegółowo opisany. Miał on blat w kształcie dziesięciokąta z granitu o średnicy 1,25 m i grubości 0,10 m, z napisem *mensa venatoria Johannis Georgii S.R.I. archicamerarii et electoris. Anno 1598*, czyli stół myśliwski Jana Jerzego arcykomornika Świętego Cesarstwa Rzymskiego i elektora. Roku 1598. Stoły zachowały się do XX wieku – jeden w posiadłości nadleśniczego w Podlesiu, a drugi u niejakiego pana Borstede spod Goleniowa. Nie wiadomo, gdzie obecnie się znajdują.

Innym myśliwskim memorabilium była kolumna Trophaeum in rei memoriam z mosiężnymi tablicami, ustawiona na pamiątkę wielkich łowów, urządzonych we wrześniu Roku Pańskiego 1597, pod-

*Strzelba paradna, Niemcy, I poł. XVII w.,
drewno, żelazo, kość, stolarstwo, odlewnictwo, rytowanie*

czas których teść księcia – Jan Jerzy – pozyskał wyjątkowo okazałego jelenia. W miejscu, w którym zwierz padł, ustawiono ponadto okolicznościowy głaz z napisem. Jak wieść niesie, Jan Jerzy często w trzysta koni po trzy tygodnie na polowaniach tu bywał. Rezydencja ta, jak wiele tego typu obiektów w Księstwie Pomorskim i Rzeczypospolitej, została zniszczona przez ciągnące wojska szwedzkie.

Książę Jan Fryderyk zasłynął też sprowadzaniem zwierzyny płowej (red.: zwierzęta łowne z rodziny jeleniowatych) do hodowli w zwierzynicach, w celu zasilania lokalnych populacji. Być może więc to jemu zawdzięczać należy sprowadzenie na Pomorze pierwszych danieli? Kolejna rezydencja myśliwska tego władcy powstała w mieście Stary Dąb (dzisiejsza dzielnica Szczecina – Dąbie), kiedy to w 1592 roku, w wyniku pożaru, ucierpiał zameczek, należący przed sekularyzacją do klasztoru w Kołbaczu, a który to książę postanowił odbudować jako pałac myśliwski – istniejący do dziś.

Zameczki w Podlesiu i Dąbiu nie były jedynymi projektami baz wypadowych tego Gryfity. W Kopicach, leżących nad brzegiem Zalewu Szczecińskiego, zbudowano z jego polecenia dom rybacki, ponieważ książę, poza polowaniami, gustował także w połowie ryb. Podobne zamiłowania przejawiali i inni przedstawiciele dynastii. Kroniki donoszą o tym, jak to Filip, zwany Pobożnym, przepadał za wędkarstwem podlodowym, a Kazimierz VII wyprawiał się z rybakami na dalekie połowy morskie. Swoją książęcą „rybakówkę”, posadowioną w Jezierzanach, posiadał również Kazimierz VIII i to w niej dokonał żywota.

Ostatni tur na Pomorzu

Do najbardziej spektakularnych opowieści myśliwskich pomorskiego rodu książęcego należą te dotyczące Wacława V, sprawującego rządu w drugiej połowie XIV wieku. Ten to bowiem książę, o czym głosi podanie, miał w 1380 roku upolować ostatniego tura na Pomorzu Zachodnim. Polowanie odbyło się pod Lotyniem (gmina Okonek, w powiecie złotowskim – dziś przynależącym administracyjnie do województwa wielkopolskiego). Turze rogi, oprawione w srebro, miały stać się częścią wyposażenia katedry kamieńskiej i być tam wystawiane z okazji różnych uroczystości jeszcze przez wiele wieków.

Przekazy donoszą też, że Wacław V hodował do polowań wilki, a kruki uczył ludzkiej mowy. Podobne wilcze i krucze historie dotyczą również Jerzego I, którego żywot przypadł na 1. połowę wieku XVI, być może więc było to zajęcie wspólne dla różnych członków dynastii w ciągu wielu wieków jej istnienia...

Wierzchowce i sfory

Co się tyczy nieodzownych towarzyszy łowów, to bezsprzecznie za największego miłośnika psów myśliwskich uchodził urodzony w 1403 roku Barnim VII, zwany – z uwagi o troskę jaką darzył swoje czworonogi – Psiarzem. Z kolei jego imiennik Barnim XII – urodzony w 1549 roku – zasłynął jako wybitny jeździec. Nie wiemy, niestety, jakie dokładnie psy nieodzownie miały towarzyszyć Barnimowi VII. Możemy się jedynie domyslać, że mogły być to psy różnych typów. Były więc wśród jego podopiecznych gończe i psy chwytające – charty. Kolejnym domysłem, choć uzasadnionym komparatystyką i tym, co wiemy o średniowiecznym łowiectwie europejskim, jest to, że Gryfita mógł posiadać w swojej psiarni także molosowate psy, używane na



grubego zwierza. Psy tego typu służyły zarówno do osaczania niebezpiecznej zwierzyny – szablanych odyńców, których zapewne nie brakowało w nadodrzańskich trzcinowiskach i bukowych puszcach, ale także do chwytania i unieruchamiania rogatych żubrów przez przytrzymywanie za słuchy. Psy budzące respekt swoim wyglądem, odważne, ale stabilne psychicznie, mogły też stanowić nieocenioną pomoc w stróżowaniu na szczecińskim kasztelu i w innych grodach, ochraniać księżęce tabory lub być wykorzystywane w boju.

Dziczyna szlachci stoły

O istotnej roli, jaką w jadłospisie władców Pomorza odgrywała dziczyna, może świadczyć spis liczby zwierząt ubitych na ucztę weselną z okazji ślubu wspomnianego wyżej Bogusława X Wielkiego z księżniczką polską Anną Jagiellonką, córką króla Kazimierza IV Jagiellończyka, która odbyła się 2 lutego 1491 roku, przy udziale wielu znamienitych gości, w tym licznego orszaku księżniczki, złożonego z możnych

panów polskich. Poza setkami owiec, wołów i nie-
możebną liczbą jaj, których zużyć miano tysiąc kop, czyli sześćdziesiąt tysięcy sztuk, spis wyróżnia liczbę aż trzystu dzików – przy wyraźnie odróżnionych od nich świniach, w liczbie „zaledwie” stu osiemdziesięciu – jakie zostały spożyte przez gości weselnych.

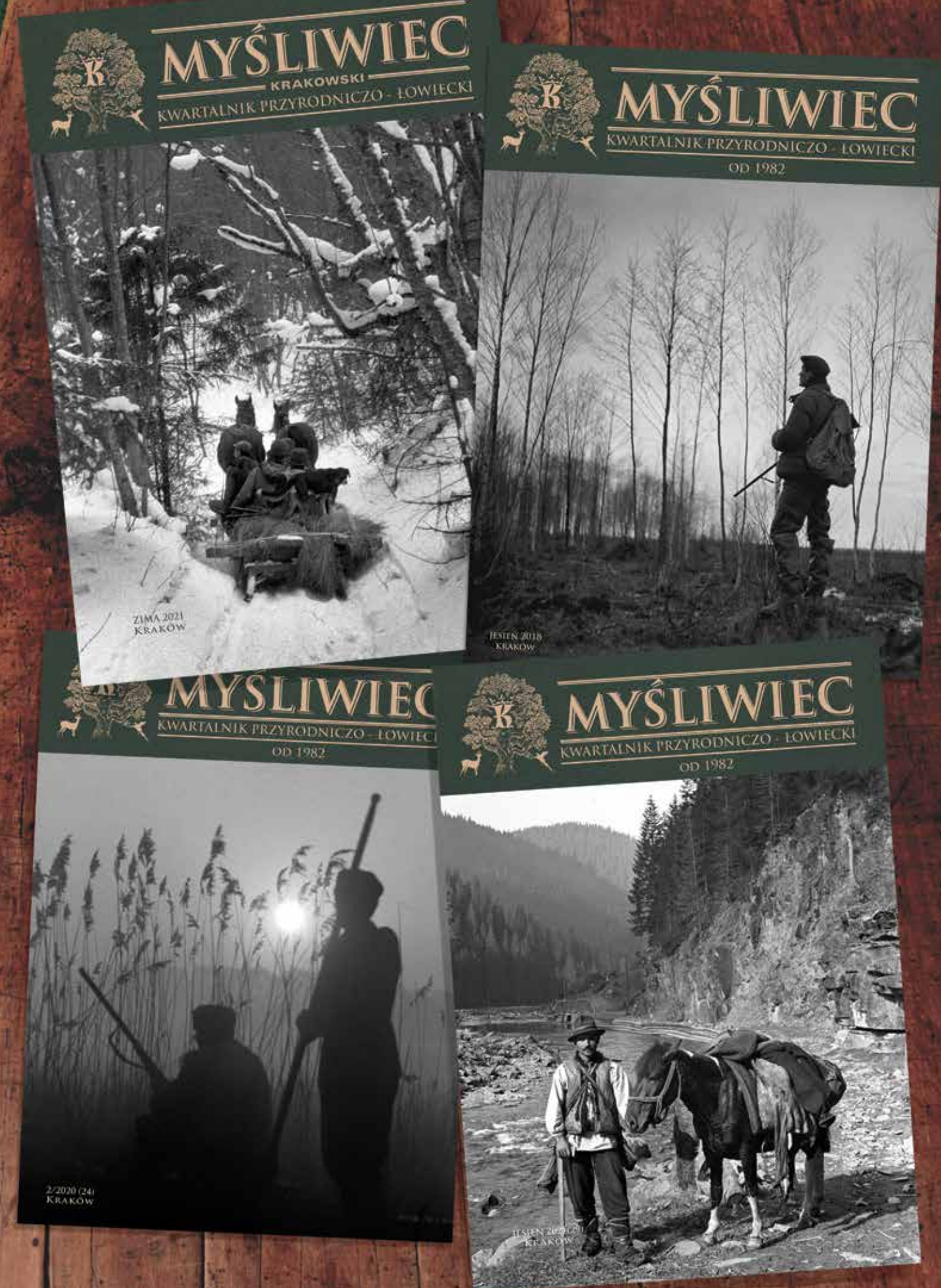
Historie do odkrycia

O dawnych mieszkańcach nadodrzańskich puszczy i myśliwskich wyczynach władców pomorskiej krainy świadczyć mogą niezmiennie do dziś nazwy wielu zachodniopomorskich wiosek i osad. Jedną z nich jest Niedźwiedź (niem. Baerenbruch – dosł. niedźwiedzi moczar) w Puszczy Goleniowskiej. Miał się tam znajdować matecznik ostatniego bartnika na Pomorzu. Tyle głosi legenda. Za to według pewniejszych zapisów kronikarskich ostatni niedźwiedź tej historycznej krainy miał być widziany w Wytownie (dziś powiat słupski), a było to w roku 1744, czyli 107 lat po wygaśnięciu dynastii Gryfitów.

Ale to całkiem inna historia...



Ława skrzyniowa (neorenesansowa), XIX/XX w., drewno, stolarka, snycerka



MYŚLIWIEC KRAKOWSKI - magazyn łowiecki od 40 lat na rynku
ZAPRASZAMY!



Guide
outdoor

Nasadka **TB650P 2.0**

Sensor 640x512 px

Soczewka 50 mm

NETD $\leq 15\text{mK}$

Bezkatkowe odświeżanie

Produkt dostępny na www.knieja.com.pl i w wielu Sklepach Partnerskich!